

# WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok VIII

Warszawa, dn. 25. XI. 1951 r.

Nr. 47 (329)

## Od Redakcji

**Z**jawisko społeczne analfabetyzmu, ciemnota zalegająca całe polacie ludów — to przyczyna kapitalizmu, to zjawisko jego hodowli. Likwidację tego stanu przynosi rewolucja. Po Rewolucji Październikowej w Rosji Lenin podpisał dekret o likwidacji analfabetyzmu w końcu roku 1919 — podkreślając nie tylko kulturalne, ale polityczne znaczenie tej sprawy. Bez abecadła, „nie może być polityki, bez tego są tylko pogłoski, plotki, bajki, przesady, ale nie polityka”.

U nas również rewolucja przyniosła ustawową likwidację analfabetyzmu — kończąc z filantropijnym dobrodziejstwem oświaty z epoki kapitalizmu. Ustawa sejmowa z kwietnia 1949 roku określiła termin likwidacji analfabetyzmu w Polsce na koniec roku 1951. Wielka ta akcja dobiega dziś końca.

Przeżanki społeczne analfabetyzmu, metody etapu walki z analfabetyzmem odstawia w pewnej mierze przedstawiony przez redakcję wybór życiorysów i wypowiedzi byłych analfabetów — absolwentów kursów początkowego nauczania i wypowiedzi działaczy, nauczycieli społecznych i zawodowych. Szperanie w tym na pozór uciążliwym, monotonyjnym materiale dostarcza wiadomości o wielu typowych losach starego pokolenia — ze schyłku XIX wieku i młodego pokolenia niepełności i Polski sanacyjnej. Przed oczami przesuwają się sylwetki tak wyraziste, tak jednym słowem i nawet błędem rozjaśnione, domagające się uwagi i pamięci. Pismo jakby dziecinne lub koślawe, sztywne, znać że prowadził je drżący ręką starca lub staruszki, podziękowania Polsce Ludowej, która „wyprowadziła ich na światło”, „przywrociła wzrok”, sprawiła, że człowiek przestał być, jak pisał dzisiejszy soltys — byłym analfabeta, „cegłą zamurowaną w murze” — te rzeczy wzruszają, te rzeczy zdolne są dać natchnienie pocie wielkich przemian, pocie rewolucji.

Powody zakorzenienia się i narastania analfabetyzmu w Polsce dawniejszej i sanacyjnej — w Polsce kapitalizmu odstawiają życiorysy w swoim przekroju wyraźnie. Są to między innymi:

- 1) brak przymusu szkolnego
- 2) konieczność pracy dziecka
- 3) rzadka sieć szkolna, odległość od szkoły
- 4) bezrobocie, śmierć ojca, „nie było ubrania”
- 5) wojna.

W fakcie społecznym analfabetyzmu zalamuje się cały koszmarny obraz losu człowieka pracy w systemie kolonialnego kapitalizmu. W przekroju społecznym największą liczbą analfabetów — to wieś, zarówno starsza jak młodsza. Środowisko robotnicze jest również bardzo typowe, ale stosunkowo analfabetyzm jest tu zjawiskiem rzadszym, dotyka za to bardzo liczenie takich prężnych zawodów, jak zawód pomocnicy domowej.

W ogóle problem poniżenia i uciśku kobiety w ustroju kapitalistycznym wydobywa się na jaw bardzo wyraźnie w związku ze sprawą analfabetyzmu. „Rodzice uważali, że kobiecie nauka nie jest potrzebna” — piszą absolwentki kursów. Trudności do przezwyciężenia, opory psychiczne — wstyd i społeczne — opinii były ogromne. Działatwórk klasowy ośmieszający, wydrwiniący tych „abeców” i „habetów”, którzy przed tym pokornie przed nim zgięli i wyzykali — dziś osiągnęli dzięki nauce konkretny awans społeczny, uświadomienie, wyższy stopień życia i kultury.

Likwidacja analfabetyzmu nie kończy się wraz z faktem nauczenia alfabetu tysięcy dawnych niepiśmiennych, tysięcy kobiet, które znalazły drukowane, tylko na książce do nabożeństwa, młodzieży, która często ulega ułudom analfabetyzmu po niepełnej szkole w Polsce sanacyjnej. Akcja ta przedłuża się w utrwaleniu kulturalnej zdobyczy pisma, w zapobieganiu wrotom analfabetyzmu poprzez wdrożenie do czytania, prenumerowania pism, korzystania z biblioteki, poprzez organizację „zespołów dobrego czytania”, poprzez umożliwienie byłym analfabetom prawdziwego awansu społecznego. Wielu z nich uczy się dalej, nauka wciąga, początkowe wykształcenie rodzi głód większej wiedzy. Tych wchłania szkolnictwo dla dorosłych. Wielu osiągnęło dzięki nauce kierownicze stanowiska w swoich zawodach i w organizacjach społecznych, prace, do których wykonywania byli dawniej niezdolni.

Dzięki likwidacji analfabetyzmu wzrosła niepiśmienność nasza baza czytelnicza, czytelnictwo książek i gazet. Wzrosła nasza baza percepcji twórczej wiedzy i kultury, wzrosła baza ludowa tworzenia naszej narodowej kultury.

„Człowiek analfabeta znajduje się poza polityką, przede wszystkim należy nauczyć go abecadła. Bez tego nie może być polityki, bez tego są tylko pogłoski, plotki, bajki, przesady, ale nie polityka”.

LENIN

## ŻYCIE „NAUCZYCIELA SPOŁECZNEGO”

**M**oją miejscowością jest wieś Suchowola licząca ponad 600 mieszkańców, położona w gminie Rządówka w powiecie Radomskim.

W chwili ukazania się rozporządzenia rządowego w sprawie walki z analfabetyzmem, stan oświaty i analfabetyzmu w Suchowoli przedstawiał się następująco: Z ludzi starszych ponad 50 lat, 2/3 umiało i umie słabo czytać i z wielkim trudem podpisać się. Reszta, za wyjątkiem paru kobiet, które umiały tylko przeczytać modlitwy w książkach do nabożeństwa, nie umiało. Z ludzi od 30 do 50 lat — było 15 analfabetów. Obecnie wszyscy już nauczyli się czytać i pisać.



Najbliższą przyczyną takiego stanu oświaty było to, że dawniej nie było szkoły w Suchowoli, była jedna tylko szkoła w gminie we wsi Rządówka, oddalona o cztery kilometry od Suchowoli. Ale oprócz tego to było w tym także i trochę niedbalstwa, bo kto chciał nauczyć się czegoś, to nie żałował nóg, trafił do Rządówki i dzisiaj chociaż słabo, ale co mu potrzeba, to potrafi przeczytać i napisać.

Co do mnie, to nie jestem ani zawodowym nauczycielem, ani też z powodu podeszłego wieku nie zajmuję się nauczaniem.

Urodziłam się dnia 14 lutego 1895 r. w Żernikach, pow. Tomaszów woj. lubelskie. Ojciec Jan i matka Maria z domu Kryszczuk. Ojciec mój był szewcem. Początkowo mieszkał w miejscie Tyszwowce, lecz brak pracy i ciężkie warunki materialne zmusiły rodziców do wyjazdu na wieś. Było nas 7-oro rodzeństwa. Niecysty i tu ojciec pracy nie znalazł. Dzieci musiały pójść do pracy. Praca była ciężka. Pracowaliśmy u obszarnika „jaśnie pana” od rana do ciemnej nocy razem z dorosłymi. Płacili nam bardzo mało. Miałam wtedy 14 lat, nie uczyłam się wcale. Zazdrościłam dzieciom idącym z książkami do szkoły. Nie nauczyłam się czytać i pisać i dlatego było mi w życiu bardzo ciężko. Czegoś mi zawsze brakowało. Dopiero Polska Ludowa — Rząd Demokratyczny dał mi możliwość w moich starszych latach zdobyć naukę początkowego czytania i pisanie. Czuję się teraz jak gdybym odzyskała wzrok.

W r. 1916 wyszłam za mąż, lecz los mój nie zmienił się. W dalszym ciągu musiałam pracować u obszarników. W r. 1918 umarł mąż. Zostałam z córką, która miała 1 rok. Zostałam we wsi Łaszczów i znów musiałam iść do „jaśnie pana” pracować. W r. 1924 wyjechałam wraz

z mężem do Warszawy, gdzie uczyłam się w szkole. W Warszawie uczyłam się w szkole dla dorosłych. W końcu do tego, że mogłam już pracować w biurach. Najpierw byłam pomocniczką pisarza gminnego w Siemkowie, następnie w czasie służby wojskowej w Taszkencie byłam pisarzem w kompanii, a po powrocie z wojska do kraju, przez 4 lata pracowałam w biurze komory celnej w Pyzdrach Siedleckiego powiatu. Po malej przerwie pracowałam w powiatowym biurze w Wieluniu, aż do wybuchu pierwszej wojny światowej.

Urodziłam się 1 lutego 1873 roku we wsi Dryganek, gm. Kieleckiego, w pow. Wieluńskim. Ojciec mój był 15-morgowym rolnikiem. W całej gminie była wtedy jedna tylko szkoła w Kieleczynie, oddalona o 5 kilometrów od naszego domu, do której mało kto z naszej

gminy chodził, bo uczono tylko zimą, a zimy były w tych czasach bardzo surowe. Bardzo ciężko było brać po głębokim śniegu pięć kilometrów w jedną i drugą stronę, ale ja miałam wyjątkowo zamilowane do nauki i trochę talentu, więc nie zważałam na żadne trudności i dopóki nie skończyłam czwartego oddziału chodziłam do tej szkoły bez przerwy.

Na dalsze kształcenie ani warunki ani środki materialne nie pozwalały, więc w dalszym ciągu, jak mogłam i gdzie mogłam zdobywałam różne książki naukowe i w domu uczyłam się sam. Doszedłem w końcu do tego, że mogłam już pracować w biurach. Najpierw byłam pomocniczką pisarza gminnego w Siemkowie, następnie w czasie służby wojskowej w Taszkencie byłam pisarzem w kompanii, a po powrocie z wojska do kraju, przez 4 lata pracowałam w biurze komory celnej w Pyzdrach Siedleckiego powiatu. Po malej przerwie pracowałam w powiatowym biurze w Wieluniu, aż do wybuchu pierwszej wojny światowej.

Zaczęliśmy więc od razu naukę, która bez przerwy trwała do pier-

## Z życiorysów byłych analfabetów

### ZAZDROŚCIŁAM DZIECIOM IDĄCYM DO SZKOŁY

z najbliższą rodziną i córką do Bobrowa pow. Brodnica. Tu córka ukończyła szkołę podstawową, a następnie posłałam córkę do szkoły średniej w Brodnicy. Chciałam, aby córka nie myślała się tak jak ja. Chcąc opłacić czynsz za naukę w szkole, pracować musiałam u okolicznych kulaków i obszarników często o głodzie i chłódzie. Jakże często dziecko moje szło do szkoły bez śniadania i bez chleba, który mogłaby zjeść w miejsce obiadu. Lecz wytrwale pracowałam na naukę swej córki. I zdawało mi się, że już cel osiągnęłam, że córka zda maturę. Tymczasem miasa przed maturą córka została usunięta ze szkoły, ponieważ nie miała pieniędzy na zapłacenie czesnego. Zmuszona byłam od bogatego chłopca pożyczyć pieniędzy na drobne. Opłata uiszczałam. Córka maturę zdała, ale życie nasze nie uległo jeszcze zmianie, gdyż w Polsce przedwojennej nie było pracy dla córki biednej robotnicy.

Podczas okupacji także córka nie miała pracy, a ja pracowałam corywco. Mieszkałam wtedy w Brodnicy. Córka przeprowadziła się do Torunia, gdzie wyszła za mąż, a ja zostałam dalej w Brodnicy. W r. 1949 hitlerowcy wyrzucili mnie z mieszkania i chcieli wywieźć do obozu. Udało mi się uciec do To-

runia do córki w marcu. W r. 1941 w sierpniu zostali aresztowani córka z dziećmi i wywiezieni do obozu. Zostałam z wnuczką, która miała wtedy 1 rok i 10 miesięcy. Żyłam z dzieckiem na łasce losu. Dobrzy ludzie żywili nas. Na szczęście wróciła córka i zięć z obozu w r. 1942. Odzyskałam po wkroczeniu Wojsk Radzieckich i wyzwoleniu Polski spod jarzma hitlerowskiego.

Obecnie Polska Ludowa dała możliwość poznania nauki ludziom dorosłym, którzy jej nie zasnali w latach dziecięcych. Gdy dowiedziałam się o kursach początkowego nauczania, mimo, że mam lat 56, zgłosiłam się i cieszyłam, jak dziecko, że mogę się uczyć. Chodziłam na kursy, pilnie i dobrze go ukończyłam. Jako nagrodę otrzymałam po ukończeniu kursu książkę „Pan Tadeusz” — dużą, z barwnymi obrazkami. Jest ona moją radością i wielką dla mnie pamiątką.

Po ukończeniu kursu zostałam także zabrana na wycieczkę do Warszawy. Zdumionym; oczyma patrzyłam na odbudowę naszej stolicy, dumy całego narodu. Dzięki Polsce Ludowej spotkało mnie dużo niespodziewanych w moim wieku przyjemności. Dzięki Polsce Ludowej umiem czytać i pisać.

Borys Anna

## W NUMERZE:

W. WASILEWSKA, M. STARZYK, FR. GRABOWSKI, J. LESNIEWSKA — Zyciorysy b. analfabetów.  
FR. FENIKOWSKI — Pomorze Zachodnie. J. SKALSKI — Zwycięzcy trudnej jesieni.  
L. HERDEGEN — Poeci dobrego i różni (III). J. WILK — O wierszach H. Gaworskiego.  
ST. CIESLAK — Wnioski na przyszłość. W. SZMIDT — O wzroście hodowli.  
E. POCHRON — Amerykańscy pisarze. ST. JASKIEWICZ — Z dzikiego zachodu.  
J. BARANOWICZ — List z Bulgarii. G. TIMOFIEJEW — O literaturze dla dzieci.

„Polska Ludowa jest dla nas Rzeczpospolitą ludzi pracy, którzy gorąco kochają swoją Ojczyznę i gotowi są poświęcić jej wszystkie swe siły i talenty twórcze. A siły i talenty twórcze mas ludowych mogą rozwinąć się w pełni tylko w warunkach wysokiego poziomu wiedzy i kultury”.

BIERUT

wszystych dni maja 1943 roku do pierwszych dni sierpnia 1945 roku. Za wyjątkiem jednego tylko człowieka, który był bardzo tępy i w żaden sposób nie mogłem z nim dać rady, szesnastu, którzy przed tym nawet liter nie znali, nauczyli się dość gładko czytać i pisać i sami bez niczyjej pomocy pisali listy do Polski. Ale ile przy tym było uciechy i różnych żartów.

Po wypędzeniu Niemców z Francji w sierpniu 1944 r. radości było bez miary, ale my Polacy zostaliśmy bez żadnych środków do życia. Ludzie młodzi i silni mogli znaleźć pracę i zarobek u miejscowych Francuzów, ale ja zostałam już po raz drugi w najgorszym położeniu.

Napisałam więc list do polskiego Czerwonego Krzyża w Verdun z prośbą o zapomogę. W krótkim czasie otrzymałam trochę pieniędzy, a mój list, jak dowiedziałam się później, był przesłany do Inspektora Szkolnego w Strasburgu. W kilka dni potem przyjechał do mnie inspektor szkolny i zaproponował mi, abym się podjęła uczyć polskie dzieci w wieku szkolnym. Inspektor będzie mi wypłacał miesięcznie po 4.000 franków pensji.

Uczyłam więc dzieci, których było 26 aż do wyjazdu do Polski, który nastąpił dopiero w listopadzie 1945 roku. Wszyscy deportowani z Departamentu Meuse przyjechaliśmy jednym pociągami do Bielska. Z Bielska rozjechaliśmy się po kraju w różne strony. Nie zapomnę nigdy serdecznego pożegnania w Bielsku z byłymi analfabetami, których na pewno nigdy już w życiu nie zobaczę. Po powrocie do domu gospodarstwo jakie posiadałam, oddałam synowi, a sam z żoną umieszciliśmy w oddzielnym mieszkaniu. Wkrótce potem umarła mi żona, zostałam więc samą jedną.

Jak wiadomo, w czasie wojny wszystkie szkoły stały na martwym punkcie. Ale po wojnie cała dorastająca i dorosła młodzież w Suchowoli zrozumiała potrzebę

nauki i zaczęła masowo gnać się do książek. Do mnie przychodziło kilku dorosłych chłopców, którzy przed wojną chodzili do szkoły, nauczyli się już trochę czytać i pisać, ale bardzo słabo, a najgorsza sprawa była z rachunkami, bo żaden prawie z nich nie znał wszystkich czterech działań rachunkowych, a o ułamkach nie było mowy. Takie wykształcenie nie było wystarczającym dla objęcia jakiegokolwiek stanowiska w społeczeństwie. Więc ja na ile mi pozwalała moja praktyka i doświadczenie uczyłam ich i pomagałam w zdobyciu potrzebnych wiadomości. Skutek naszej nauki był taki, że obecnie paru z tych chłopów już jest na stanowiskach, a mianowicie: Roch Sienk jest kierownikiem Oddziału maszynowego przy gm. spółdzielni w Rządówce, Józef Fit — magazynierem w tejże spółdzielni, Józef Wiedlak pracuje w Urzędzie gminnym, a Antonina Pach od 1 października ub. roku sprzedaje towary tekstylne w spółdzielni w Rządówce. Prawdziwych analfabetów, którzy przed tym nie umieli, nie uczyłam w Suchowoli. Uczyłam ich w godzinach wieczorowych miejscowej zawodowej nauczyciel w szkole.

W ostatnim czasie przychodziło znów do mnie paru dorastających chłopów, którzy po polsku umieli już nieźle czytać i pisać, ale mają wielką chęć nauczyć się języka rosyjskiego. Obiecałam im, że po ukończeniu robót w polu weźmiemy się do nauki. Język rosyjski znany mi jest tak samo jak i polski, bo bardzo długi czas miałam go w użyciu.

Młodzież przychodzi do mnie chętnie, bo oprócz tego, że się czegoś nauczy, to ma i inne korzyści. Ja im zawsze wymyślę jakąś nieznaną piosenkę, czasem zagram na skrzypcach. Uczę bezinteresownie bez żadnego wynagrodzenia. Utrzymanie daje mi syn.

Dłubak Ignacy



## JUŻ WIEM, CO SIĘ DZIEJE NA ŚWIECIE...

Ojciec mój był formalarzem w fabryce fajansu, matka wychowywała dzieci. Było nas 6-oro. Miałam 4 lata, kiedy zachorował ojciec. Ojciec zachorował z cugów w fabryce. Dostał sklerozę mózgu. Leżał w domu 19 lat, gdyż kiedyś dla takich nie było miejsca w szpitalu. Wtedy matka pracowała na nasze utrzymanie, a 12-letnia siostra musiała pomagać matce, aby wyżywić jako tako nas i chorego ojca. Było nam bardzo ciężko. Ja mając 9 lat musiałam już iść na kole zrzucić belki na celulozę, aby choć trochę pomóc. Bo matka już opadała z sił a pomocy znikąd nie było. Pracując nie miałam możliwości uczyć się. Było mi bardzo przykro, gdy inni czytali książki. Postanowiłam, że chociaż nauczę się podpisać. I nauczyłam się podpisać, tak jakbym nauczyła się rysować. Kiedyś zdarzyło mi się na jednym zebraniu, że chcieli

mnie wybrać na sekretarza. Ze wstydem i wielkim trudem udało mi się wymówić bólem głowy. We wrześniu r. 1939 wzięli mnie do wojska. Dostałam się do niemieckiej niewoli i wtedy więcej niż dotąd poznałam, co znaczy nie umieć pisać, nie mogłam porozumieć się z rodziną. Dziś, dzięki naszej Polsce Ludowej już nie zawstydzę się i gdybym był z dala od domu, już bym nie prosił, aby mi ktoś pisał lub czytał, bo dziś sam to umiem. Bo nasza Ojczyzna Ludowa dba, aby jej obywatele nie byli ciemni. I chciałbym, żeby wszyscy co nie umieją czytać i pisać, zrozumieli, jaką korzyść daje nauka. Dziś dzięki nauce, gazet, które z fabryki przynoszę, nie leżą, ale przeczytam je dokładnie, jak również i książki i wiem, co się dzieje na świecie.

Marian



JANINA LEŚNIEWSKA

## PAMIĘTNIK NAUCZYCIELKI



Rok 1948.

Szkola podstaw. Nr 2 w Sieradzu. Widne, duże klasy szkolne, jasno pomalowane ściany, na pierwszym miejscu portrety przedstawicieli Państwa. Z okna rozległy widok na Wartę i przybrzeżne błonie, panorama zieleni i błękitu nieba.

Oto zewnętrzne warunki pracy dwóch kursów początkowego czytania i pisania, zorganizowanych samorządnie, prowadzonych przez Wydział Oświaty. Kilkunastu kursistów w różnym wieku, pochylonych nad książką lub zeszytem kreśli drżącą niewprawną ręką pierwsze, nieudolne litery, zbliżone swoim zewnętrznym wyglądem do prawdziwych liter z abecadła.

Przyszli na naukę dobrowolnie, chętnie się uczą. Nie ma jednak w tej początkowej pracy żadnego rozmachu, ani zrozumienia jej ważności. Jest to tylko praca lokalna, która dopiero w następnych latach stanie się zagadnieniem żywym, którym żyć będą aktywne jednostki i masowe organizacje. W roku 1948 uzyskano 12 absolwentów.

ROK 1949/50

Październik. Ta sama szkoła co w ubiegłym okresie, ale zupełnie inny widok. Świetlica szkolna, korytarze — wszędzie pełno ludzi w wieku do 70 lat. Powołanie zarejestrowanych analfabetów. Każdy z nich trzyma w ręku białą kartkę, na której jasno i dobitnie widnieją wyrazy: „Na mocy art. 1-3 i 21 ustawy z dnia 7.IV. 1950 r. o likwidacji analfabetyzmu wyznam obywatela...”

A więc coś zupełnie innego niż 1948 r. Zagadnienie likwidacji zostaje objęte ustawą. Z pracy kulturalno-oświatowej walka z analfabetyzmem staje się zagadnieniem ogólnopolskim, państwowym.

Wszyscy są przejęci ważnością chwili, żywo gestykulują, kilku z nich trzyma w ręku zaświadczenia lekarskie. Pomiędzy nimi widać wysoką postać inspektora Kurasa i nauczycieli, którzy będą uczyć na kursach. Kilkunastu zgłoszonych z powodu przekroczenia wieku, lub zaświadczenia lekarskiego zostają zwolnieni z obowiązku nauki. Jest ich ponad 80, organizujemy 5 kursów, na których uczą, za wyjątkiem mnie, wszyscy nauczyciele zawodowi. Mam trenę, pierwszy raz będę uczyła, nikogo o wskazówki nie pytałam, zdobyłam kilka podręczników, instrukcji, wszystko uprzednio przestudiowałam, przemyslałam. Uczę na I kursie języka polskiego z zagadnieniem i na II kursie rachunków. Z bijącym sercem wchodzi do klasy. Mam przygotowane przemówienie, wzorowo opracowaną lekcję.

Zaczynam do nich mówić, widzę wpatrzonych w siebie kilkanaście młodych i starych oczu. I zaczynam mówić zupełnie coś innego, coś co się wyrzywa spod samego serca, tłumaczę, proszę, perswaduję.

Pierwsze kroki są zrobione, lody przełamane. Kurs I liczy 17 słuchaczy, wszyscy młodzi, chętni do nauki, z zapałem biorą się do pracy. Pierwsze kilka dni zapoznawamy się wspólnie.

Poznaję ich prace, środowiska, pytam się o wszystko, chętnie i szczerze odpowiadają mi. To jest pierwszy rachunek dobrych wyników pracy — poznać swego ucznia, jego charakter, usposobienie, poznać jego warunki życiowe, troski rodzinne, aby móc w przyszłości, być dobrym doradcą-powiernikiem, a tym samym nawiązać ścisły kontakt ucznia z nauczycielem. Moi słuchacze, z wyjątkiem paru, pracują w różnych zakładach pracy.

A teraz nakreślę kilka ciekawych sylwetek analfabetów. Janina Pawlak — młoda, przystojna kobieta, mówi po polsku dziwnie twardym akcentem. Jest systematyczna w pracy, pisze nadzwyczaj starannie, czysto, cicho, spokojna, pilna. W rozmowach z nią dowiaduję się, że jest urodzona w Niemczech, gdzie przebywała 20 lat. Teraz dopiero pierwszy raz uczy się po polsku. Przez cały czas nauki była nadzwyczaj pilną uczennicą, uczęszczała na naukę bardzo punktualnie, mimo trojga drobnych dzieci. Była chlubą mojego kursu, zawsze to

podkreślałam i dawałam ją innym za przykład. Mąż jej funkcjonariusz straży więziennej przerabiał kurs gimnazjum, oboje pilnie się uczyli i między nimi była konkurencja w wynikach nauczania.

Ob. Janina Pawlak była bardzo ambitna, ale zawsze drażliwa, przeczułona, cały czas musiałam obchodzić się z nią delikatnie, gdyż predko się obrażała i wtedy traciła chęć do nauki — zresztą jak wielu innych moich słuchaczy. Tyle razy muszę jedno i to samo powtarzać, nie wolno okazać mi złości, zniecierpliwienia — w tym bowiem wypadku na pewien czas tracę swego słuchacza i znowu muszę przez pewien czas łagodnie z nim współpracować, aby naprawić chwilowo zerwany kontakt.

W parę dni po rozpoczęciu kursu ktoś puka nieśmiało. Do mojej klasy wchodzi drobna, starsza kobieta, biednie ubrana i wprowadza swego syna Antosia Grzelaka. Chłopiec ma ładną, miłą twarz, szafirowe, myśliczne oczy. Matka drżącym, nieśmiałym głosem opowiada mi jego

historię — był zabrany do Niemiec razem z rodzicami, ciężko fizycznie pracował i nie mógł się uczyć. Gorąco poleca mi swego Antosia, całą nadzieję pokłada we mnie. Serdecznie ściskam ją za rękę, uspokajam i zapewniam, że dołożę wszelkich starań, aby Antos dobrze się uczył i zrobił postępy w nauce. I tak było istotnie, zdał egzamin z wynikiem dobrym i wyjechał później z rodzicami na Zachód. Miałam z nim jednak dużo kłopotu, gdyż był bardzo ruchliwy, żywy, a czasami bardzo psoty.

Moi słuchacze I kursu nie sprawili mi dużo kłopotu, uczyli się pilnie, wytrwale i robili duże postępy w nauce, a nasz serdeczny, przyjacielski stosunek pogłębiał się stale i zacieśniał, gdyż oparty był na zrozumieniu istoty rzeczy. Chcieli się uczyć, gdyż czuli potrzebę nauki, a wyniki początkowej nauki zaczęli widzieć na swoje własne oczy. W końcu trwania kursu pisali krótkie listy lub zyczenia i zabierali się do samodzielnego czytania gazet.

Uczniowie moi byli bardzo ambitni i ogromnie drażliwi na punkcie swego nieuctwa. Nigdy przy nich nie używałam wyrazu analfabeta, gdyż wyraz ten upokarzał ich i zniechęcał do nauki. Z zasady nie chcieli się nigdy fotografować, chodząc na uroczystości dla nich organizowane, nieuctwo swoje starali się jak najgłębiej ukryć.

O wiele lepszy, inteligentniejszy element miałam na kursie II. Było ich tylko 12 — wszyscy starsi, zajęci ciężką pracą fizyczną, przychodzili zwykle na naukę bardzo zmęczeni, brudni, wprost od swojej pracy. Były wypadki, że ze zmęczenia zasypiali, chodząc wtedy cicho koło nich, aby nikt nie przerwał im kilkunastominutowego, dobroczynnego snu-wypoczynku, po którym z chęcią zabierali się do pracy.

To był najlepszy, najambitniejszy element z jakim zetknęłam się w ciągu trzyletniej mojej pracy na tym odcinku. Ograniczę się tylko do

scharakteryzowania kilku ciekawych sylwetek.

Ob. Czesław Dawiduk drobna, niepozorna postać ryczałtowego woźnego Urzędu Skarbowego. Po paru dniach pracy wzrocił moją uwagę. Chciałbym wzrokiem wpaść w niego, aby mu stała tłumaczyła, każdą wolną chwilę spędzał z kredą przy tablicy lub ze „Startem” w ręku.

Gdy go chwiliwą, radosny uśmiech gościł na jego twarzy. Nie usłyszałam nigdy z jego ust żadnego narzekania, krytyki — przeciwnie zawsze był chętny do współpracy i pomagał mi, gdy chodziło o zapewnienie frekwencji lub w zorganizowaniu jakiejś uroczystości. Z okazji Święta Odrodzenia rzucił projekt napisania dwóch listów do Ob. Prezydenta i min. Matuszewskiego. Pisz sam drżącą, niewprawną ręką przejętą ważnością chwili, że on szary człowiek jeden z tej wielkiej milionowej gromady ludzi pracy może pisać do głowy Państwa.

Ob. Czesław Dawiduk zdał egzamin z wynikiem b. dobrym, skończył zespół dobrego czytania, klasę wstępną dla dorosłych, obecnie uczęszcza do 5-tej klasy szkoły dla pracujących ucy się nadal b. pilnie z dobrymi wynikami. Pozostał na zawsze moim oddanym przyjacielem. Gdy się z nim spotykam, serdecznie wita się ze mną i jest ogromnie wdzięczny za to, że wyrwali go z ciemnoty i wskazałam mu drogę do nauki.

Ob. Chrapiek Władysław, pomocnik domowa dr. powiatowego. Dziwnie delikatny, wrażliwy typ, chłonek naukę z całym zrozumieniem i oddaniem — cicha, spokojna, nieśmiała.

Po paru tygodniach wybiła się na czoło kursu jako przodownica nauki.

Kurs kończy z wynikiem bardzo dobrym. Powoli, systematycznie zaczynam moich słuchaczy wdrażać do czytania gazet, początkowo nagłówki, ogłoszenia, to wszystko co drukowane jest dużymi literami.

Końcowe egzaminy. Moi słuchacze przejęli się ważnością chwili, na ich twarzach maluje się zdenerwowanie, lęk. Boją się obcych, nowych twarzy — mimo tego wyniki egzaminów są dobre i w okresie tym uzyskali 33 absolwentów. Rozdajemy świadectwa, krótkie serdeczne przemówienia i rozstajemy się. Wszyscy jesteśmy zadowoleni, oni, że uczęszczając na kursy dobrze spełnili swój obywatelski obowiązek — a my, nauczyciele, że wyrwaliśmy ich z ciemnoty i zafobania, przysporzyliśmy Polsce Ludowej 33 pełnowartościowych obywateli.

Kampania wiosenna — letnia. Dwa kursy zapisanych 30 analfabe-



tów uzyskano 16 absolwentów. Prowadzę kurs II. Praca o wiele trudniejsza, gdyż element kursów jest o wiele słabszy, kilku z nich powtarza kurs.

Oto kilku z nich: 33-letni pracownik P.M.S. wybitnie niezdolny, wskutek nadmiaru użycia alkoholu, całkowity zanik pamięci. Po paru tygodniach pracy nie uczynił żadnych postę-

pów. Nie zrażam się tym jednak, otaczam go specjalną opieką przynoszę mu kolorowy elementarz, wycinane litery, za wszelką cenę chcę go nauczyć czytać i pisać. Wysiłek umysłowy jest dla niego zbyt wielki, w ciągu pracy kropie potu zraszają często jego czoło — patrzy na mnie z wyrzutem. Chwilami czuję, że mogę stracić cierpliwość, wiem, że mi tego uczynić nie wolno, gdyż zrażę go do siebie zupełnie, a tym samym i do nauki.

Muszę się uspokoić — podchodzę do okna, otwieram je na rozcięcie. I znowu zaczyna się nauka. Takich uczniów miałam paru na swoich kursach, trzy pracownice ze szpitala — tepe, niezdolne, szalenie nerwo-

## JA TEŻ NIE CHCĘ WOJNY...

Bydgoszcz, 7 lutego 1951 r.

Oddalam skierowanie na kurs nauczycielski. Kazala mi usiąść w ławce.

Najpierw czytaliśmy wszyscy głośno. Potem przepisywałyśmy wyrazy z czytanek. Początkowo było mi trudno pisać. Nauczycielka zawałowała mnie do tablicy i na tablicy ćwiczyłam pisanie liter. Po ćwiczeniu na tablicy, w zeszytach pisałam już lepiej. Widziałam, że inni pisać szybciej ode mnie i postanowiłam dużo pisać w domu.

Potem nauczycielka opowiadała nam o odbudowie Warszawy.

Po opowiadaniu zaczęliśmy rachunki. Nauczycielka wysypała z portmonetki grosze na ławkę. Dołaczaliśmy i odejmowaliśmy do złotego.

Byłam ucieszona i zadowolona z pierwszej lekcji.

Środa 28 lutego 1951 r.

Dzisiaj było nas w szkole szesnastu. Najpierw były rachunki. Obliczałam swoje dzienne wydatki z podpisywaniem liczb, tak jak to robią ekspedientki. Przy mnie siedziała Halina. Ja wylczyłam swoje zadanie, a ona nie.

Potem czytaliśmy jak dawnio temu żarna męły zboże. Opowiadał mi o tym, jak wtedy ludzie ciężko pracowali na wsi, a teraz mają maszyny rolnicze, więc jest im łatwiej. Kiedyś mój tatuś też pożyczł konia do orki. Dzisiaj mój brat jest traktorzystą i orze tatusiowe pole traktorem. Następnie układaliśmy wyrazy i zdania z liter ruchomego alfabetu. Kolega Witold z takim zapałem zabrał się do tej roboty, że zapomniał o papierosie schowanym pod ławką, który sam się wypalił. Myśmy się śmiali. Nauczycielka złościła się, bo palić wolno tylko na przerwie.

Czwartek, 22 marca 1951 r.

Jest nas już 22. Chodzą wszyscy, bo podpisujemy listę obecności. Dzisiaj czytaliśmy czytanke o sztandarach robotniczych. Potem nauczycielka nam opowiadała, jak robotnicy walczyli o swoje prawa, jak strajkowali we Francji, bo nie chcieli wydawać broni z okretów. Podobna mi się to. Ja też nie chcę wojny. Cieszę się, że zaczęłam się uczyć i chcę uczyć się w spokoju dalej.

Zaczęliśmy pisać dyktando i nagle zgasało nam światło. Czekaliśmy aż będzie światło i każdy z nas opowiadał dlaczego nie mógł chodzą do szkoły. Dowiedzieliśmy się, jak smutnie przeżywalismy nasze młode lata. Światła w dalszym ciągu nie było, więc uczyliśmy się śpiewać Międzynarodówkę.

Środa 25 kwietnia 1951 r.

Przyszliśmy na lekcję, nie wiedząc że będzie egzamin właśnie

dzisiaj. O tym, że będziemy egzaminowani wiedzieliśmy już trzy tygodnie przed tym.

Byłam podniecona i myślałam, że ze strachu nie jedno mogę zapomnieć, ale kiedy byłam pytana, odpowiadałam dobrze i śmiało. Napisałam list i rozwiązałam dwa zadania rachunkowe.

Podczas egzaminu przyszedł fotograf i robił zdjęcia całego kursu do pamiątkowej gazetki ściennej.

Staraliśmy się bardzo zdać ten egzamin, abyśmy mogła potem uczęszczać do szkoły wieczorowej dla pracujących.

2 maja 1951 r.

W dniu 30 kwietnia było w szkole rozdanie świadectw. Egzamin zdałam z wynikiem bardzo dobrym.

Ucieszyłam się bardzo, bo jestem córką robotnika, która jako dziecko musiała już zarabiać na życie i dopiero teraz w Polsce Ludowej będę mogła dalej się uczyć i zdobyć jakiś zawód, tym bardziej, że pracuję tylko jako pomoc domowa.

Wasilewska Weronika

## ALE TEGO JESZCZE MAŁO

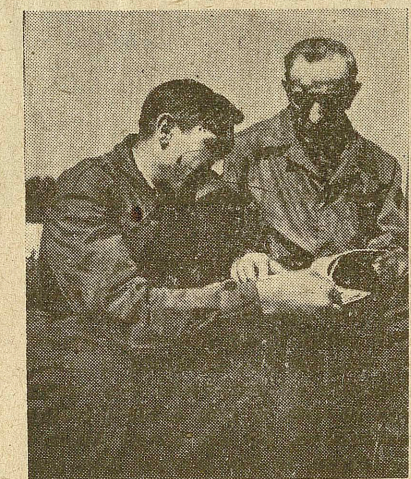
Co pamiętam od lat dziecięcych kiedy byłam mała? Chowana byłam przy rodzicach. Ojciec mój pracował ciężko na utrzymanie rodziny. Latem pracował w cegielni. A zimą pracował przy kamieniu. Cieżka to była praca, a małe wynagrodzenie. Za to ojciec nie mógł wyżyć swojej rodziny. W 11-tych roku mego życia oddał mnie na służbę do gospodarza. Tam pasłam krowy.

Budzono mnie rzycho z rana, gdy słońce wschodziło i dano mi kawałek czarnego suchego chleba do zjedzenia. Gdy przyszedłam na obiad dano mi marny posiłek i znowu mnie używano do posług. W ciężkich wiatrach z rzeki wodę nosić, co nie mogłam poradzić. Musiałam parę razy po drodze odpoczywać. Gdy przyniosłam do domu, gospodyni się wydawała, że za długo nie przychodziłam. Wtedy mnie łajała i popychała i często szturchnęła w plecy dawała. I znowu po obiedzie zabierałam krowy i do tego gospodarz jeszcze mi dał trzy konie i musiałam to wszystko pasć, a na wieczór przychodził gospodarz do mnie, zabierał ode mnie krowy i pędził do domu, a mnie pozostawiał konie, i kazał długo jeszcze pasć żeby konie się dobrze najadły trawą. Gdy przyszedłam na wieczór konie, kolacji już nie było i ja byłam zmęczona. Kładłam się spać na barlogu, żeby trochę wypocząć do świeżej pracy. Gdy się spotkałam z moimi koleżankami, które chodziły do szkoły, gdy widziałam u nich książki i słyszałam, jak one czytają i piszą, to mi się serce z

## Z życiorysów byłych analfabetów OTWORZYŁY MI SIĘ OCZY...

Urodziłem się dnia 16 maja w r. 1904 w Józefkach pow. wrocławskiego. Jak miałem 3 miesiące, wyprowadzili się rodzice do Przeczka. Ojciec mój był robotnikiem, nie mógł nas wyżywić. Gdy miałem 4 lata ojciec wyjechał do Ameryki i tam po roku pracy umarł. Przy matce byłam do 7 lat. Nas było w domu troje. Matka nie mogła poradzić biedzie, a i tamtejszy rząd przedwojenny nie zajmował się biednymi i ich ciężką dolę. Z konieczności musiałem iść na służbę. Służyłem od siedmiu lat do 21 roku. Pierwsza moja służba u ciotki, która mieszkała w Ślawiecinie pow. wrocławskiego. Tam pasłem 3 krowy za 7 rubli rocznie. Pracowałem u ciotki 3 lata. W tych 3 latach to były mnie chciały zjeść. Spałem z krowami w oborze. Wstałem o godz. 4 rano a kładłem się spać o 11 wieczór. Po trzech latach poszedłem do drugiego gospodarza. Miałem wtedy 10 lat. Byłem u tego drugiego gospodarza rok, więc wytrzymałem nie mogłem względem życia. 7 krów do pasienia miałem i 30 gęsi, a życie, rano

barszcz z jagłami, na obiad krychane kartofle i odciganie mleko, za 13 rubli. W stajni spałem, smród od gnoju, a w szczy w koszu, aż się roły. Na trzeciej służbie miałem trochę lepiej, bo życie było lepsze. Dostałem 60 marek na rok. Byłem



tam u tego gospodarza do 18 roku życia. Już mnie się naprzykrzyło służyć i wróciłem do matki i byłem w domu do 21 r. Wtedy ożeniłem się z taką biedną dziewczyną jak i ja. I tak żeśmy się dorabiali. Gdy myśmy się dorobili do kawałka ziemi, wzięli mnie do wojska. Był to rok 1926. W wojsku byłem 18 miesięcy. Gdy wróciłem z wojska, pracowałem z żoną do roku 1939. Zakończyła wojna, Niemcy mnie wywieźli z mojej ciężko zapracowanej ziemi na Górny Śląsk do kopalni węgla i pracowałem tam w tej kopalni węgla do ukończenia wojny. Do szkoły nie chodziłem, no bo i kiedy. Nie miałem kto do szkoły posyłać. Nie tak, jak dziś, wszyscy chodzą do szkoły i uczą się. Polska Ludowa opiekuje się biednymi i troszczy się o analfabety. Urządza kursy na naukę początkową. I ja z żoną chodziłem na takie kursy, gdzieśmy się nauczyli czytać i pisać i rachować, a do tego jeszcze uczono nas o Polsce Ludowej. Z jaką radością chodziliśmy na naukę, gdzie codziennie coś nowego myśmy się nauczyli. Myśmy też lubili słuchać ciekawych opowiadań z „Przyjaćiółki” i „Gromady”. Jako przyjemnie umieć czytać. Po robocie na roli lubię czytać „Gromadę”, bo w niej jest duży druk. Akurat dopasowany do moich oczu. Byłem ciemny jak tabaka w rogu, a dziś mi się otworzyły oczy. Wszystko sobie przeczytałem i napisałem.

dziękuję Rządowi za wyszkolenie ciemnego chłopca. Chcę się pochwalić jeszcze, że wychowałem 6-ro dzieci, 4 synów i 2 córki. Synowie pracują na rządowej robocie. Wiedzą, że żyją na świecie. I ja chwaleb ten Rząd Demokratyczny.

Starzyk Maria

Grabowski Franciszek

ROK 1950/1951.

Dopiero w tym roku zrozumiałam w całym tego słowa znaczeniu skrót W.A. — Walka. Ten okres był prawdziwą walką, prawdziwym bojem z zafobaniem, kołtunierią ludzką, trzeba było łamać największe opory, łamać człowieka, wykuc nowego człowieka o innym, socjalistycznym światopoglądzie — a to jest chyba rzecz najtrudniejsza. Tkwił on w swoich starych zafobanych pojęciach i z tym było mu ciężko — dobrze.

Element, który pozostał nam jeszcze do przeskolenia był elementem wybitnie opornym, nieusławdomionym, a czasami wręcz wrogim, o złym nastawieniu do obecnej rzeczywistości. W tym okresie musieliśmy cały swój spryt, inteligencję i cierpliwość podnieść do maximum, aby za wszelką cenę tych właśnie ludzi wyrwać z upodlenia, ciemnoty i stworzyć z nich pełnowartościowych obywateli. Element, który nam pozostał do nauki składał się z chorób z urojenia, markierantów, oportunistów, którzy sprytnie w ciągu dwóch lat wykreślił się od nauki i nadal postanowili trwać w tym zamierze. W tym okresie akcja likwidacji stała się pracą bardzo trudną, niewdzięczną, często musielismy uczyć tych, którzy formalnie zatykali sobie uszy na nasze słowa, prośby, perswazje. W tym stanie rzeczy w jakim się znajdowali, było im bardzo dobrze i czasami byli wprost na nas wściekli, że staraliśmy się wyrwać ich z tego stanu. Woleli najcięższe roboty, nawet jak często sami mówili, choroby — niż naukę. I w takich ciężkich, niesprzyjających warunkach uczyliśmy, a efekt naszej pracy był dwukrotnie większy niż w ubiegłych latach, gdyż w tym okresie uzyskaliśmy największą liczbę absolwentów. Ten ich systematyczny upór z jednej strony zachęcił nas do intensywniej pracy, a z drugiej strony zobrazował nam jakim wielkim kalektem duchowym był analfabetyzm w naszym społeczeństwie i jak konieczna była jego likwidacja.

Do przeskolenia pozostało nam jeszcze ponad 120 analfabetów, w tym kilku wybitnie opornych. Utworzyłam 5 kursów, 38 osób zostało objętych nauczaniem indywidualnym. Początkowo w tej walce, w tym zmaganiu ze „starym” człowiekiem” byliśmy sami — 120 często niechętnych ludzi do nauki i 5 nauczycieli z paroma działaczami społecznymi.

Największe nasilenie walka z analfabetyzmem przybrała w miesiącach styczniu, lutym i marcu. Za wszelką cenę musimy do dnia 1 maja na terenie m. Sieradza zlikwidować analfabetyzm. „Dwoje się i troje”, aby obowiązki instruktora pedagogicznego spełnić jak najlepiej, niektóre jednak sytuacje, głównie jeżeli chodzi o przemawianie opornych, zniechęcają mnie bardzo do pracy i wyczerpują psychicznie.

Nakreśliłam kilka ciekawych sylwetek opornych, oraz wskazałam jakimi próbowałam przełamywać ich opory. Czasami to się udaje i o tych konkretnych wypadkach prze-

(dokończenie na str. 7)



FRANCISZEK FENIKOWSKI

## POMORZE ZACHODNIE

I.

Szczyt każdej wieży ceglanej  
wieńczy (jak widok ten wzrusza)  
sztafety wiosny — bociany,  
te z „Pana Tadeusza”.

Na rynkach kosze i stągwie  
pełne po brzeg urodzaju,  
nad nimi ptasie chorągwie  
młodością powiewają.

Przekupki ryb i owoców  
w słonecznym pyłe spór wiodą;  
a z starej baszty łopocze  
ziemi tej druga młodość.

II.

Morze, wierzcie, jest fraszka dla tego,  
kogo pływać nauczyła Wisła.  
— mówi do mnie w porcie Kołobrzegu  
stary wodniak, Chelstowski Władysław \*).

Imię jego nosi na swej burcie  
statek, co jakgdyby muszla czarna,  
jeszcze wczoraj w Odrę wartkim nurcie  
dennym mułem obrastał i marniał.

On, Chelstowski, podziwiał go razem  
z ludźmi, którzy zalogę dziś tworzą...  
I odetchnął płucami z żelaza  
ich holownik — najpierwszy na morzu!

III.

Za szkolnym oknem blask kwitnie  
na starych strzechach z sitowia,  
w powietrzu, co drży błękitnie,  
Rewekol polilolował \*\*).

Rewekol. Niedgdyś tam gorzał  
ogień Swaroczykowy,  
żeglarze z mrocznego morza  
ku niemu zwracali głowy.

Potem tam starzec żył srebrny \*\*\*)  
i w góry pogańskie cieniu  
układał w psalm słowa zgrzebne  
skazane na zapomnienie.

A dziś tu słowiańscy chłopcy  
w szkole, gdzie nocą świerszcz śpiewa,  
czytają już im nie obcy  
wiersz o „domowych drzewach”.

IV.

Ptaki, krążąc w spółdzielczej stajni,  
otaczają starego Gruchałę...\*\*\*\*)  
— Żniwa? — mówi — Tęgośmy zwyczajni.  
Siedemdziesiąt razy żniwowałem!

Ale takich żniw — potrząsa głową —  
nie widziałem. Powiem rzetelnie:  
zaczęć liczyć lata na nowo  
od pierwszego żniwa w spółdzielni!

I rekoma (nimi na jesieni  
siewnik wiódł przy drżących latarniach  
siejąc nocą) jaskółcze cienie  
z pomarszczonej twarzy odgarnia.

V.

Droga w zieleni się nurza,  
a brzozy na jej skrajach  
schodzą w dół, pną się na wzgórzach,  
dłonią gałązek wiewają.

Wsie pozdrwiają i miasta,  
co są jak statki na falach,  
gdy im na wież rdzawych masztach  
zachód światła zapala.

Zielonym witają słowem  
(każdy ich liść — śpiewny ptaszek),  
a tętnią serca brzozy  
czule lecz mocno — jak nasze.

VI.

Wczoraj stawał więcierze w Narwi,  
gdzie się ryby księżycowe pluskały,  
w oczach jego jeszcze się barwi  
błękit rzeki, słońcem spłowiwały.

Jeszcze Bałtyk mu wiatru dłużej  
w twarz nie wrzeźbił swojego piętna,  
jeszcze wargi pomną pół nutę,  
co jak pszczoła krąży natrętna...

I gdy z morza w darłowską przystań  
kuter pewną wprowadza ręką,  
młody zyper przez zęby śwista  
mazowiecką, polną piosenkę...

VII.

Bocian, w mgłę brodząc, pierś odął  
i z łaki startuje cichej,  
wozy wracają do stodoł,  
kurz złotem wplata się w szprychy.

Kołem obraca się wolno  
wieczorna ziemia na północ,  
wśród lotnych mgieł drogą pełną  
wóz płynie jak wielkie czołno.

Bocian powraca na gniazdo,  
dziewczęta na snopach płyną,  
wschodzą nad łęg pierwszą gwiazdą  
latarnia morska, Czolpino.

VIII.

Wiatr zwijał włosy jej w pukle,  
gdy stała na moło z cebrum,  
w którym bałtyckie pomuchle  
żywym miotły się srebrem.

Rumiana, rybacka córka  
za kutrem, co w wód znikł ogromie,  
patrząca — to ziemia, która  
trwa w wietrze młoda jak płomień!

\*) Władysław Chelstowski — kapitan holownika „Władysław”, który zajął pierwsze miejsce we współzawodnictwie taboru pływającego S.U.M. (Szczecińskiego Urzędu Morskiego).

\*\*) Rewekol — góra nad J. Gardnó, niedgdyś miejsce kultu bogów pogańskich Pomorzana.

\*\*\*) Michał Mostnik — Pontanus (1583—1654), pastor w Smolżynie u stóp Rewekolu. tłumaczył na język słowiański katechizm, psalmy pokutne i inne pieśni religijne.

\*\*\*\*) Bazyli Gruchała — przewodniczący i stałeniy spółdzielni produkcyjnej w Garczegórzku pod Łęborkiem. Jesienią ub. r. aby wykonać terminowo plan zasiewów siał nocami przy latarniach.

JAN SKALSKI

## ZWYCIEŻCY TRUDNEJ JESIEŃ

**M**INEŁO już 6 miesięcy kiedy Ziemowit 17-letni chłopak, ochotnik SP, pojechał na wojnę. W Opolu nad Wisłą i rozpoczął pracę przy budowie Lubelskiej Fabryki Samochodów Ciężarowych. Sześć miesięcy — to znaczy dwa turnusy SP. Obiecał matce, że za 3 miesiące wróci, ale wracać jakoś nie ma ochoty. Zrozumiemy to łatwo, kiedy zobaczymy z jakim zapalem stał przy tokarce. Brygadzysta chwali sobie chłopaka. Robi postępy. Niedługo zostanie prawdziwym tokarzem.

le, że nie trzeba było wcale spacialnego szczęścia, by wasz syn dostał się do fabryki i żadnej innej protekcji prócz dobrych chęci, bo gdybyście się rozejrzeli i popytali okazaloby się, że ponad 60 proc. tutajszych robotników to wczorajsi chłopcy. Oni tak samo „jako wasz syn” nie powrócą już na wieś. Tutaj zdobyli cenny zawód. Zostali zbrojarzami, betoniarzami.

Jeden z nich to Stanisław Zdunek. Ten długo trzymał się ojcowskich mógów.

— Sześć lat — mówi — straciłem — a już od 6-ciu lat mogłem mieć fach, jak się patrzy.

rycie jak zwiększają tempo i jakoś produkcji w wielkim rozmachu wytwórczym, którego rozpęd wzięli w czasie zobowiązań październikowych — to będzie świadkiem wspaniałego zjawiska obecnego etapu, kiedy robotnicy Polskiej Ludowej, idąc za „początkującym” wzorem „budowniczym” pięcioletek — stalowymi ukazali swą dojrzałość klasową — i prawdziwie socjalistyczną postawę.

Bo czyż nie potrafi zadziwić każdego, kto nie doceniał ogromu przemian w świadomości naszej klasy robotniczej, że właśnie teraz na etapie obecnej jesieni, którą historia nazwie kiedyś „trudną jesienią” robotnicy nasi zdobyli się na wielki zryw produkcyjny, że właśnie w okresie kiedy spietrzyły się trudności aprowizacyjne, nasza klasa robotnicza potrafiła nie tylko utrzymać swą wydajność, ale ją przekroczyć i podnieść na wyższy poziom.

Ruszyli na wiele miesięcy przed terminem giganty naszego przemysłu. W rocznicę Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej ruszyli Żerań, Lubelska FSC, Kombinat Piotrkowski, wielki taśmowiec w Szczecinie.

24 października czytaliśmy komunikat Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego w III kwartale 1951 r. — Trzeci kwartał to lipiec, sierpień, wrzesień. Komunikat ten mówił o globalnym wzroście naszej produkcji o 20 proc. w porównaniu z III kwartałem roku ubiegłego. Cały szereg gałęzi naszego przemysłu przekroczyło znacznie swój plan. Jednocześnie jednak w przemyśle ciężkim a więc w hutnictwie, w przemyśle lekkim a więc przede wszystkim we włókiennictwie i na kolejach mimo bezwzględniego wzrostu w stosunku do III kwartalu ub. roku — brakowało kilka procent do pełnego wykonania planu na III kwartał b. r. — wynik spłotu trudności, jakie pojawiły się pod koniec lata.

Mogłoby się здаwać, że w październiku sytuacja będzie taka sama. A tymczasem właśnie w tych późniejszych gałęziach gospodarki staliśmy się świadkami nie tylko wyrównania planu, ale jego przekroczenia.

Oto już w dniu 22 października kraj dowiedział się, że robotnicy wielkich pieców huty Katarzyna wyprodukowali ponad plan 60 ton surowki. W tym samym czasie załoga wielkich pieców huty im. Dzierżyńskiego dała ponad 55 ton surowki ponad dzienne normy.

Załoga późnionej huty Zygmunt zamełdowała w dniu 5 listopada o wyprodukowaniu 118 ton stali ponad dzienny plan.

Stalownicy Huty Pokój przynieśli 418 ton stali ponad plan.

Gdy się zsumuje wyniki produkcyjne w okresie całego października są one jeszcze bardziej imponujące.

Jedna huta Florian dała w okresie realizacji zobowiązań październikowych 2.000 ton stali i 1.000 ton surowki.

Robotnicy huty Kościuszkowski dali blisko 3.000 ton stali i półtora tysiąca ton surowki ponad plan. Stalownicy Huty Pokój wyprodukowali tysiąc ton stali ponad plan. A robot-

nicy stalowni im. Stalina aż 6.200 ton stali ponad plan.

Podobnie zakłady włókiennicze.

Załoga tkalni centralnej Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Armii Ludowej dała w październiku i to już 27. października 80.000 metrów tkanin ponad plan. Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Dywizji Kościuszkowskiej — dały dodatkowo produkcję wartości 100.000 złotych. Podobnie Zakłady im. Gen. Waltera i zakłady przemysłu włókiennego im. Władysława Reymonta. Razem sami łódzcy włókiennicze dali ponad planową produkcję wartości 35.000.000 złotych. Wartość samej tylko ponad planowej produkcji robotników poznańskich przekroczyła w tym czasie 34.000.000 złotych.

Równie imponująco przedstawia się realizacja zobowiązań październikowych przez górników.

Kopalnia „Eminencja” zameldowała o przekroczeniu zobowiązania. Mieli wydobyć 3.625 ton ponad październikowy plan — a już na 10 dni przed terminem wydobyli 32.725 ton.

Górnicy kopalni „Prezydent” przekroczyli o 38 proc. zobowiązania październikowe.

Kopalnia „Matylda” wykonała swój plan w październiku w 111 proc. wydobywając 4.500 ton węgla ponad plan.

A przecież są to tylko niektóre meldunki z trzech zaledwie dni. A przecież są to tylko niektóre przykłady z niektórych gałęzi przemysłu.

Wobec tych liczb stajemy z podziwem i ciśnie nam się na usta pytanie: Co się stało?

Przecież ta sama huta Florian wykonała w lipcu zaledwie 72,6 procent planu, w sierpniu tylko 90,3 procent planu, a we wrześniu tylko 88,5 procent planu.

Czy to więc przypadek, że w październiku dała 107,2 procent planowanej stali?

Nie, to nie jest przypadek — to skutek wyjątkowej walki jaką podjęli tam wszyscy od dyrektora do prostego hutnika. A istota sprawy polega na tym, że taką walkę potrafili podjąć i że zwyciężyli.

Cóż się więc stało?

Urosli u nas ludzie zdolni do wykonywania wielkich zadań 6-latków i rosną wciąż nowi, tacy jak Ziemowit i Zdunek w Lubelskiej Fabryce Samochodów. Urosli razem z murami nowej fabryki. To również naszego budownictwa socjalistycznego.

Jakże nędzne wydają się oczekiwania panów z „Głosu Ameryki”, że trudności rynkowe potrafią załamać nasz plan gospodarczy. Jakież nędzne wydają się te nadzieje wobec takiego np. człowieka jak Jan Gładysz brygadysta z FSC w Lublinie. Jan Gładysz to młody fachowiec. Człowiek kadry. Do FSC przyjechał z Gliwic. Nie była to „rajza” z typu „rajzy” bezrobotnego Amerykanina w poszukiwaniu jakiegokolwiek pracy. Nie była to nawet „rajza” w poszukiwaniu lepszej pracy lub większych zarobków.

Jan Gładysz był zadowolony ze swej pracy i pracy w Gliwicach. Pozostawił tam dziewczynę, z którą miał się wkrótce ożenić. Był bardzo ceniony w dotychczasowym zakła-

dzie pracy. Kierownik zakładu wręczając mu przeniesienie służbowe „zaofiarował mu jednocześnie swą pomoc przy wyreklamowaniu”. Ale Gładysz był człowiekiem wychowanym przez Partię. Rozumiał, że Lublinowi są potrzebni fachowcy. Że tam jest pierwsza linia walki. Był dumny, że Partia jego własnie na to odpowiedziałe stanowisko wysunęła. Propozycję kierownika odrzucił i pojechał.

Czy przeżywał wewnętrzny konflikt w rodzaju Judyty z „Ludzi Bezdolnych”. Nie, nie widział wcale w postępowaniu swym nic z dramatu. Czuł się szczęśliwy, że może montować konstrukcje FSC, że może montować transportery... Tak było przez 3 miesiące, po 3-ch miesiącach wyjechał na 3 dni i — ożenił się. „Zmontował małżeństwo” — mówili z uśmiechem koleżyny.

Czy nowy konflikt? Nie. Zapytany, czy młoda żona nie buntuje się przeciwko rozłące, dał odpowiedź, która zastanowiła kolegów:

— Po pierwszej rozłące nie potrwa długo, po drugiej — moja żona jest tak jak ja z klasy robotniczej, chcemy być szczęśliwi nie jeden dzień, lecz zawsze”.

Oto nowa świadomość i postawa polskiego robotnika. Umie on patrzeć w przyszłość. Gotów jest wyzwać się dzisiaj wyzgodą życiową, bo wie, że tym piękniejsze i trwalsze będzie jego szczęśliwe jutro. Wie, że budując fabrykę i pokonując trudności, buduje swoje własne życie, lepsze życie. Gładysz już w tych dniach wprowadzi żonę do nowego mieszkania przydzielonego mu w osiedlu przy fabryce. Niedługo się czeka na „jutro” w Polsce Ludowej. Ludzie o takiej świadomości jak

zryw. Rocznicą Rewolucji Październikowej ma dla naszej klasy robotniczej znaczenie symbolu ucieleśniającego w sobie wszystko, co polska klasa robotnicza zawdzięcza Krajowi Rad.

Gdy Gładysz przyjechał z Gliwic do Lublina zastał w hali montażowej części świeżo przybyłych maszyn — na wiekach skrzyni czytał słowo „Polsza” ten adres wypisał radziecki robotnik. A później przyjechał radziecki inżynierowie i fachowcy pomagać. Gładysz od nich się uczył. I jeszcze jedno zawdzięcza ludziom radzieckim. Swoją pewność i wiarę w zwycięstwo. Bo wie, że w walce z trudnościami nie jesteśmy sami. Że za nami stali Wielki Przyjaciel, na którym można polegać. On pomoże. Naród Radziecki.

Górnicy kopalni Śląsk osiągnęli niedawno wydajność 12 ton węgla na górnika i przekroczyli plan produkcyjny. A przecież niedawno jeszcze kopalnia borykała się z trudnościami, mimo, że w kopalni pracowali wielki kombatyni produkcji radzieckiej „Donbas”. Tak ale nowoczesnej techniki ludzie z kopalni „Śląsk” nie potrafili jeszcze opanować. Trzeba było dopiero by z dalekiego zagłębia donieckiego przybył radziecki towarzysz — instruktor kombajnowy i nauczył „wyciągać z techniki wszystko, co ona dać powinna”.

Nasi mistrzowie szybkościowych wytopów to uczniowie radzieckich towarzyszy. Nasi gospodarni włókiennicze to korabielnikowcy. A iluż z naszych inżynierów korzystało z doświadczeń Kowalowa?!

Uzbrojeni radziecką pomocą, wychowani przez Partię — brata partii Lenina — Stalina robotnicy nasi



Nie, matko Ziemowitowa, wasz syn już nie wróci na wieś, zostanie tutaj przy fabryce. Kto wie, czy i was do siebie nie ściąganie.

Dziwicie się stara Ziemowitowo. Dziwicie się nie dlatego, że syn ruszył do fabryki. To u was nie pierwsza. Na dwóch morgach rodziny przed wojną nie utrzymał. Wasz chłop też do miasta ruszał. Na sezonową robotę, to tu to tam, ale zawsze do domu wracał. Dlatego dziwicie się, matko Ziemowitowa, że syn został. Przecież ośmialiście się od młodości, jak kiwno głowami nad losem robotniczym.

— Taki to los prawie jak włoścacy — raz jest co do gęby włożyć raz nie ma.

I dlatego byli tacy, co choć przymierali głodem na 2-ch morgach, trzymali się tych móg i do rajzerki ich namówić się nie dało. Lepsza stara chłopska bieda niż robotnicza.

I kto wie, czy nie mieli racji... Bo tak było matko Ziemowitowa przez całą waszą młodość...

Dziwicie się więc matko — ale przestaniecie się dziwić, jak odwiedzicie swojego syna — w lubelskiej fabryce. Zobaczący go nie przy łopacie a przy tokarce. To kwalifikowana siła — to robotnik jakim nigdy nie mógł stać się wasz chłop. Zobaczący go przy tokarce w Fabryce Samochodów w Lublinie — w takiej fabryce, której wasze oczy nie oglądały nigdzie przed wojną i oglądać nie mogły, choćbyście przeszli Polskę wzdłuż i wszerz. Zobaczący da-

Ale z tym większą energią zabral się do roboty. Pracę rozpoczął w marcu jako cieśla. Znał się trochę na tym. Ale wkrótce pociągnęła go zbrojarka. Robił tak szybkie postępy w nowym zawodzie, że w sierpniu został brygadystą, we wrześniu wyrobił z brygadą 180 proc. normy, a w ostatnich najgorętszych dniach października zdał egzamin wstępny na korespondencyjny kurs technikum budowlanego. Widocznie nauka nie przeszkadza pracy, gdyż właśnie w październiku brygada Zdunka wykonała 200 proc. normy.

Ale najwięcej was, matko Ziemowitowa, przekona to, że żaden z tych młodych nie myśli z lekkiem o jutrze — wprost przeciwnie, właśnie do jutra ma największe zaufanie.

Zrozumiecie wtedy, skąd tyle u tych młodych wesołości, swobody i zapалу.

Kiedy będziecie się wybierać do fabryki znajdują się z pewnością tacy, którzy wam powiedzą: „Do miśki robotnikom zająrzycie. Na pewno się nie przelewa”. A może znajdzie się i tacy, którzy będą wam proponować wianuszek kiełbasy własnego wyrobu — bo „przecież oni tam trzy miesiące mięsa na oczy nie widzieli”.

Przyjedźcie, przeknacie się, że owszem mięsa nie tyle co by każdy w mieście chciał, ale przecież jest i w stołówce robotniczej pachnie. Ale jeśli przy tym zaobserwujecie dobrane pracę ludzi z fabryki. Jeśli uj-



Hala silników samochodowych w Lublinie.

Gładysz to właśnie gwarancja wykonania naszego planu 6-letniego.

Partia, która takich ludzi wychowała i zorganizowała do wielkiego dzieła budownictwa, to Partia, której cały naród może w pełni zaufać, to Partia nowego typu, Partia czerpiąca swe siły ze wskazań Lenina i Stalina.

Hasłem do zwycięstw naszego października stała się rocznica Rewolucji Październikowej. Nie była ona tylko wielką datą w podjęciu

potrafili stawić czoło trudnej jesieni. Nie tylko w fabrykach i kopalniach.

Jeśli powiększa się liczba powiadzeń, które wykonały obowiązek w dziedzinie skupu zboża i ziemniaków jest to także zasługa robotniczego agitatora pomagającego socjusznikowi — chłopu w rozumieniu sensu wielkiego wspólnego wysiłku w imię wielkiej rzeczy, której na imię Socjalizm.

Jan Skalski



LESZEK HERDEGEN

# POECI DOBRZY I RÓŻNI (III)

## SPRAWA WYOBRAŹNI

W poemacie „Towarzysze, mówię o nim” zamieszczonym w tomie *Ballady i pieśni*<sup>1)</sup> Tadeusz Kubiak w ten oto sposób określa rolę swej poezji w życiu budującego socjalizm społeczeństwa:

„Jestem z wami — bo dziś poezja — to także atak! Koledzy poborowi idei! Rewolucja ma oczy łagodne. Ale dłoń ma nawet dla samej siebie twardą. Wszędzie tam, gdzie świt zawirował pracą — zaciągnąć wartę! Gdzie wyzłocił twarz muzyki — wolności — trzymać wartę!”

Postawa ta jest głęboko słuszną i niewątpliwie założeniem, że „poezja — to także atak” leży u podstaw całej twórczości poety. Począwszy od debiutanckiego tomiku „Słowo pod żaglem” (1948 r.) Kubiak stara się realizować postulat poezji upolitycznionej, związanej z życiem i walką mas pracujących i masom tym adresowanej — dążenia te jednak nie zawsze są uwiecznione pomyślnym rezultatem. Otóż humanistyczna i jeszcze w pełni nie sprezykowana politycznie postawa ideowa poety z tomu „Słowo pod żaglem” nie została ugruntowana i skryształizowana w następnej książce „Zołnierze i robotnicy”. W każdym razie jej kształt artystyczny, jej odbicie w konkretnym materiale poetyckim nie świadczyło o prawdziwie głębokim przemysleniu stosunku poety do rzeczywistości, do aktualnych problemów politycznych i społecznych. Doświadczenie uczy, że w literaturze każda forma artystyczna warunkuje odpowiednie dla niej walory ideologiczne. Twierdzenie to okazuje się w pełni słusznym w wypadku Tadeusza Kubiaka. Poemat „Narodziny epoki” (książkę „Zołnierze i robotnicy” dopełnia drugi obszerny utwór pt. „Dwaj żołnierze”) pozbawiony jest konkretności, obfituje w abstrakcyjne porównania i określenia, każda najbardziej prosta i zwykła sprawa nabiera pod piórem Kubiaka cech kosmiczności i pozaziemskiej barwy. Polska np. to „wyspa sprawiedliwych ludzi wierzących w jutro”, ziemia „dobrych nadziei” itp. Poemat „Narodziny epoki”, podobnie jak „Dwaj żołnierze” (w mniejszym stopniu obciążony wspomnianymi błędami) zawiera wiele prawdziwie pięknych i śmiałych fragmentów, co jednak nie decyduje o jego pozytywnej wartości społecznej. Zaczęła się sprawa wyobraźni Tadeusza Kubiaka, wyobraźni bogatej i ciekawej — ale nie kontrolowanej, podającej skojarzenia i obrazy zupełnie swobodnie, bez koniecznej jednolitości i ładu. Sporo późniejszych utworów straciło swe społeczne i artystyczne znaczenie, gubiąc walory ideowe w chaosie obrazowania, które nieraz trzeba ocenić jako zupełnie zbędną, barokową ornamentację.

Błędy te odczuwały się również w książce „Człowiek jest blisko” (1949 r.) w której znalazły się poematy „Rzecz o Trasie W-Z” i „But Generała” (Świerczewskiego). Pierwszy z nich — pomyślany bardzo trafnie jako hołd złożony przez poetę budowniczym nowej Warszawy — nie spełnił swego zadania, ponieważ zamiarowanie poety nie zostało wyrażone w sposób artystycznie jasny i precyzyjny. Doszedł tu do głosu abstrakcjonizm wyobraźni Kubiaka, który kazał mu m. in. kopaćkę nazywać bykiem, robotnika — torreadorem, tor kolejki wąskotorowej — ścieżką, a lokomotywę — koziorożcem. Również rozpatrywanie życia Generała Waltera z perspektywy podeszwy jego buta nie wydaje się być słusznym. W rezultacie tego ujęcia postać wielkiego rewolucjonisty nie może być prawdziwą, nie może działać mobilizując na czytelnika.

Wprowadzanie wiele utworów z książki „Człowiek jest blisko” otrzymało czysty i przekonywujący kształt, niemniej jednak niebezpieczeństwo antyintelektualnej, wyłącznie emocjonalnej postawy poety wobec rzeczywistości stawało się coraz bardziej groźne. Hasło „Poezja — to także atak” zostało w praktyce poetyckiej na razie tylko w drobnej części zrealizowane.

Najnowsza książka Kubiaka (a właściwie nie najnowsza, bo w ostatnich miesiącach ukazał się poemat o Feliksie Dzierżyńskim pt. „Serce partii”) zawiera wiersze pisane na przestrzeni lat od 1950 — 1951. Obserwujemy w nich dalszą dążność poety w kierunku powiązania swej twórczości z aktualnymi zdarzeniami społecznymi i politycznymi, znajdujemy wiersze mówiące o walce klasy robotniczej w krajach kapitalistycznych, o międzynarodowej solidarności mas pracujących, o walce klasowej na wsi, o budownictwie komunizmu w Związku Radzieckim, o walce o pokój. Utwory te jednak — mimo pozytywnej i ważnej społecznie tematyki — nie nadają tej książce pozytywnego oblicza. Dlaczego? W większości utworów „politycznych” forma nie nadąża za treścią, ponieważ: uwikłane są one w stylizację na ludowość, w irracjonalizm i chaos dygresji skojarzeń, w związku z czym wiersze i fragmenty wolne od tych zarzutów giną i trudno dostrzec ich bezsporną wartość.

Ważny jako przykład „Noc i dzień” — wiersz mający być rozprawą z wrogimi elementami społecznymi na wsi. Koncepcja tego utworu polegająca na wrogiej nauce ustrojowi rozmowie trzech byłych posiadaczy wiejskich, którzy tańczą na moście w blasku księżyca — nie pomaga autorowi w realistycznej interpretacji problemu. Zagadnienie walki klasowej jest tu zupełnie odcrealnione do czegoś w rodzaju scenariusza tajemniczych nastrojów rzeki „nartwej” jak kościół średniowiecznego opata(?). Pogrożkom kula-ków i młynarzy przeciwstawia poeta głosy ludzi pracy; wypowiedzi ich jednak nie ujmuje istotnych dokonanych przez nas przemian na wsi. Mówią oni o „biednych, którzy nie mieli swej gruszy ze złotem martwym jak księżyc”, o „ziemi dzielonej na wielkość serc przez ręce ubogich”. Widzimy jasno: przepoetyzowanie, środki wyrazu nie związane z zagadnieniem naczelnym, nie podporządkowane linii przewodniej wiersza — burzą jego realizm, dewaluują cenne założenia tematyczne. Forma nie nadąża za treścią. Skąd w utworze o wsi polskiej może znaleźć miejsce taki passus:

„A księżyc zachodził nad światem, nad wodą, szuwarem i mgłą. I nad tańczącymi, jak kiedyś — sur le pont d'Avignon, sur le pont d'Avignon...”

Wyobraźnia dyktuje poecie obrazy i dygresje, które często nie wytrzymują intelektualnej oceny i okazują się pseudo — poetyckimi, barokowymi ornamentacjami. Tak jest w wypadku cyklu „Z notatek bułgarskich”, które pomyślane jako ludowe, mają właściwie charakter bardzo „inteligentkiej” stylizacji na ludowość:

„Bo na północy godna dziewczyna tego ognia. Przez doliny rózańe i przez pola tytoniu przebiec, dopaść, stratawać oczami jej usta. Jak łakę, jak ziemię! Znam w południowej Dobrudży miasteczko śpiewne. A oto chanson d'amour Bułgarii z łańcuchem krakowskim refrenem.”

Fragment ten jest przecież zlepkiem zupełnie niepowiązanych sformułowań — mimo pewnej błyskotliwości — naprawdę niewiele mówiących. W cyklu „Z notatek bułgarskich” Kubiak porusza niektóre problemy z rewolucyjnej przeszłości Bułgarii, gubiąc jednak ich historyczne znaczenie w rozpoezykowanym języku, w chaosie obrazowania. Nie dociera do istoty zjawisk, nie analizuje, a tylko powierzchownie je dotyka.

Podobne błędy ciążą na wielu utworach („Opowieść starego pastora”, „Szkice geśim piórem”, „Jadący do słońca samotny wiatrak”), z których każdy ma na celu poetyckie rozpatrzenie jakiegoś zjawiska, dziejącego się w naszej współczesności. Cóż, kiedy pozbawione są konkretności, pozbawione dobitnego nazwania spraw, o których trzeba mówić jasno i prosto, a nie przy pomocy odległych, nieraz zresztą dość interesujących metafor.

Forma poetyckiej gawędy, ludowej ballady czy przypowieści, której Kubiak nagminnie używa, nie zawsze jest odpowiednim naczyniem, w które można wlać aktualną, wymagającą dokładnej analizy problematykę. Jednak Kubiak jest w tym zamilowanym niebezpiecznie konsekwentny. Zapomina o logice konstrukcji, o obowiązujących poetę rygorach formalnych i często jego „poezjowanie” staje się swołojstwem. Wiele wierszy traci swą wartość ideową w wyniku przesadnie swobodnego języka artystycznego. Brak czujności w stosunku do każdego napisanego słowa daje się w książce Kubiaka odczytać dość wyraźnie.

Stąd — niefortunne ujęcia stylizacyjne, niepotrzebne hiperbole w odniesieniu do spraw, o których można mówić potocznie i prosto. Oto dwa przykłady:

„Skroniom rzadko włos białeł dnom rzek rzucano dzwony...”  
(„Patrząc wstecz”)

„Dwóch ców słońcu włos poślubiony...”  
(Co się zdarzyło w hotelu „Różanka”)

(— miał tu zapewne poeta na myśli dwie blondynki —).

Wolne w dużym stopniu od tych niedociągnięć są dwa większe utwory „Towarzysze, mówię o nim” i „Do mojej córki o pokoju”. Ope-rują one prawdziwie swobodną poetycką mową — i chociaż w poemacie o Stallnie doszła do głosu maniera niepodporządkowanych idei utworu dygresji — to jednak pozwalają one z ufnością patrzeć w poetycką przyszłość Kubiaka. Bez-dzie ona z pewnością bogata i społecznie mobilizująca z chwilą, gdy poeta narzuci swej nieskoordynowanej wyobraźni rygory intelektualne, gdy każdemu napisanemu słowu nada celność i artystyczną wagę. Wtedy słowa „poezja — to także atak” znajdą pełne pokrycie.

## POETA, KTÓRY MYŚLI

Witold Wirpsza jest poetą, którego twórczość rozwija się w sposób bardzo ciekawy i konsekwentny. Wiersze zebrane w jego pierwszym tomiku „Sonata” (1949 r.) powstały jako wyraz abstrakcyjnych doznań poety, dla którego dziedziną sztuki (architektura, malarstwo a przede wszystkim muzyka) były

osią zainteresowań poetyckich. Oczywiście nie kwestionujemy samych zainteresowań tematycznych — atakujemy sposoby rozwiązywania problemów, będące wynikiem ówczesnej „bezdowolności” poety. Owa pozorna bezdowolność, którą można odczytać z dawnych wierszy Wirpszy, była w gruncie rzeczy dobrze nam znana ideologia zagubionej inteligencji artystycznej. Poeta obracał się w klimacie oderwanych od rzeczywistości wzruszeń, przeważnie natury estetycznej, próbował transponować swe wrażenia muzyczne na język poezji i nie posługując się w swej poetyckiej pracy jakimiś kryteriami społecznymi w ocenie opisywanych zjawisk — stwarzał własny, zamknięty świat.

Ideologia żyjącego poza rzeczywistością poety pociągała za sobą również niewłaściwe środki artystycznego wyrazu. Wirpsza starał się, dać jak najbardziej dokładny obraz swych przeżyć w związku z czym jego nie kontrolowana wyobraźnia dyktowała mu zupełnie przypadkowe kojarzone obrazy, komplikowała styl, powodowała formalistyczne wynaturzenia. Mimo tych wszystkich zarzutów trzeba stwierdzić, że dążenie do dosłowności i precyzji w przekazywaniu swych wzruszeń czytelnikowi była u Wirpszy cenna i stanowiła niezłą szkołę dla późniejszej pracy nad słowem. W ramach błędnej z gruntu zasady twórczej Wirpsza okazał się jednak twórcą rzetelnym, dbałym o kulturę języka artystycznego swej poezji.

Już w „Sonacie” można znaleźć akcenty zapowiadające przyszłe przemiany w postawie ideowej i artystycznej, których dziś jesteśmy świadkami. Oto w wierszu „O duchu praw nowych” Wirpsza pisał:

„Dziś, gdy poezja nauczyła mnie mówić rzeczy proste wprost — i gdy nie przecinek jest ważny, a słowo, a od słowa ważniejsza myśl, właśnie dziś będę mówić o duchu praw, w których nauczyło mnie ujęcie Odry, rozbita Warszawa, nowy szup graniczny i czołg zawałdoga milczący, rdzewiejące wspomnienie wojny o przestrzelonym sercu i zwiśającej łufie.”

Te sporadyczne, świadczące o krytycznym stosunku poety do dotychczasowej twórczości momenty, poprzedziły poemat pt. „Stocznia”, który stanowił próbę wyjścia z ciasnego kołeczka estetyzmu i powiązania poezji z aktualną tematyką.

Nie była to próba w pełni udana. Nowy światopogląd poety nie był na tyle ugruntowany, żeby pokierować warsztatem twórczym, w rezultacie czego ważny społecznie problem budowy nowego okrętu nie został rozwiązany w sposób zgodny z założeniami realizmu. Poeta podjął odważnie nowe i trudne dla niego zagadnienie, jednak rozważając je i komentując stanął na stanowisku biernego obserwatora, który okiem wyrafinowanego estety spogląda na pracę w stoczni, na ciekawy krajo-

braz portowy. Wirpsza nie dostrzegł pracującego ciężko robotnika, zapomniał o jego przeżyciach — wystrząsł mu ciekawie rysujący się na ścianie cień montera, wzbogacający malarski obraz warsztatu. Mimo tych wad (i wielu innych, jak np. przesadnie apoteozowanie maszyny, wysunięcie na pierwszy plan postaci narratora) poemat ten należy ocenić jako dalszy krok w stronę poezji ideowo celnej, artystycznie jednoznacznej. Niezależnie od znaczenia obecny dotąd poecie tematyki — Wirpsza — w „Stoczni” ukonkretnił swój język, styl przejaśnił, uprościł metaforę, wzbogacił swe słownictwo o pojęcia techniczne, czyli codzienne, które nie znajdowały miejsca w elitarniej poezji burżuazyjnej. (Nie licząc, rzecz jasna, awangardowego maszynizmu, który był jeszcze jedną pomysłką tej poezji).

Najnowszy tomik Wirpszy „Polemiki i pieśni”<sup>2)</sup> zawiera już utwory o zdecydowanej linii ideologicznej, o formie nieraz bardzo oryginalnej, która świadczy, że Wirpsza wypracował sobie swój własny styl poetyckiego przemawiania na aktualne, polityczne tematy.

Jest to poezja prawdziwie intelektualna, sięgająca w głąb podejmowanych zagadnień, analizująca je wyłącznie na platformie myślowej. Poeta nie postępuje się w żadnym wypadku obrazem — wystarczy mu rezonerskie (w dobrym tego słowa znaczeniu) sformułowanie. Przykładem potwierdzającym powyższe opinie są: „Traktat polemiczny” (introdukcyjna i politycznie trafna dyskusja poetycka z błędą — obecnie okazało się, że wroga — postawą ideową i artystyczną Czesława Miłosza), „Na spadek funta”, „Koszt łodzi podwodnej” (częściowo).

Dążność do suchego, przemysłowego dowieńdzenia artystycznego prowadzą jednak nieraz do przesadnego sproszkowania języka, jak to ma miejsce w wierszu pt. „W Marsylii”:

„Mogło się to dziać rok albo dwa lata temu, w kraju, w którym walka klasowa ma ostatnio szczególnie ostre oblicze i gdzie robotnik wie, że broni wielkich tradycji swego narodu.”

Wirpsza zastrzega się: „Te wiersze wstępu pisane były jakby jakimś suchym to obrona przed zarzutem, że jestem jak Francuz sentymentalny.”

Uproszczenie pierwszej strofy, choć świadome i opatrzone usprawiedliwieniem, jest jednak pewnym wynaturzeniem, zbyt zrycznym chwytym.

Inne błędy ciążą na „Trzech portretach” (— chłopca z bursy T.P.D., starego robotnika i „wynalazcy” —), w których statyczny opis zastępy w pewnym geście, typowych dla naszego ustroju ludzi, nie spełnia zadania mobilizowania wyobraźni czytelnika. W opisach tych poeta za dużo myślał, za mało czuł.

Nie można zaprzeczyć, że każdy wiersz Wirpszy zaskakuje jakimś oryginalnym a nigdy nie formalistycznym pomysłem, że jest zbudowany na głęboko przetrwonionym

materiale, podanym rzeczowo i solidnie, bez deklaracyjności i uciążliwych sloganów. Mimo to odnosimy czasem wrażenie, że poezji Wirpszy brak bezpośredniej uczuciowości, brak wizji i obrazu (np. „Na spadek funta”). Sucha prostota intelektualnych też nieraz zawodzi i staje się sztywnością. Dlatego to wiersze „Pieciolatni”, „Koszt łodzi podwodnej” i „Piosenki żołnierza” trzeba zaliczyć do najbardziej pozytywnych osiągnięć poety — jako, że w pewnym sensie wyłamują się z narzuconych rygorów. „Pieciolatni” wzrusza i zacięka swym delikatnym liryzmem i humorem. „Piosenki żołnierza” stanowią właśnie próbę wzbogacenia wywodów intelektualnych konkretnym obrazem, a „Koszt łodzi podwodnej” niezwykle pomyślnie ujmując zagadnienie okrucieństwa ustroju kapitalistycznego i mówi o tym pięknym, skupionym językiem:

„Lecz rząd kolonialny na włoskim półwyspie przez wszystkie rozgłośnie ogłosił strat listę. Na dnie pięćdziesięciu, tlen łapiąc ustami, zamknął odbiornik śmierci czując na krtani. Na młodych przezbuch zegarków gra sześć: jesteście skazani, skazani na śmierć. Cwiczenia wojskowe? Być może, ćwiczenia. I pakt atlantycki i sprawy sumienia... Lecz bliski dramatowi jest akt już ostatni. Jest włoski robotnik, jest w Rzymie Togliatti i cierpień i morderstw już zbliża się kres. Jest walka klasowa i w Moskwie jest Kreml.”

Witold Wirpsza jest poetą bardzo ambitnym i twórczym i dlatego na pewno jego dalsza twórczość pójdzie po linii wzbogacenia wierszy elementami lirycznej bezpośredniości (tak cennej u Kubiaka), przy zachowaniu całej powagi i „solidności intelektualnej” (czego Kubiakowi brak), którą pozwala ocenić jego poezję jak najbardziej pozytywnie.

## „OBIETNICA”

Trudno w zbiorowym omówieniu, które — choćby ze względu na swoją objętość — wymaga pewnych uproszczeń i streszczeń, analizować dokładnie poezję Tadeusza Różewicza. Jest to poeta, którego twórczość biegnąca trzeba rozpatrywać zawsze na tle poprzedniej, zawsze w związku z wydanymi dotychczas zbiorami poetyckimi. W twórczości Różewicza uderza konsekwentna kontynuacja i rozbudowa pewnych cech formalnych przyjętych już w pierwszych utworach, a jego ewolucja ideowa przebiega barzo powoli i poszczególne książki nie są odciągającymi się wyraźnie od poprzednich etapami tej ewolucji. W związku z tym omówienie jego ostatnio wydanego tomiku „Czas który idzie”<sup>3)</sup> wymagałoby skrupulatnej analizy przeszłości poetyckiej Różewicza. Niestety, musimy się ograniczyć tylko do zanotowania najbardziej znamiennych momentów.

Pierwsze tomiki Różewicza ukazały się w r. 1947 („Niepokój”) i 1948 („Czerwona rękawiczka”). Wiersze w nich zebrane pisał poeta, który głęboko przeżył okrucieństwo wojny faszystowskiej i starał się dać poetyckie świadectwo swemu przetrwaniu i psychicznym obciążeniom w związku z okupacyjnymi wspomnieniami. Przetrwanie było jednak „zarazieniem” śmiercią, stało się obsesją, prowadzącą poetę do pesymistycznych wniosków, uniemożliwiają mu przyjęcie postawy normalnego człowieka, który po zwycięstwie winien stanąć do obdukcji i pracy w odrodzonym kraju. Przyczyna tego leżała w błędnej ideologicznej ocenie minionej wojny. Różewicz interpretował ją jako abstrakcyjne pojete zabijanie ludzi, a nie jako określone zjawisko ekonomiczno — społeczne, mające konkretne przyczyny i przewidziane zakłócenie. Ten — niewątpliwie ogólnie humanistyczny i pacyfistyczny pogląd był później dla Różewicza powodem wielu tragicznych pomyłek i nieporozumień. Światopogląd warunkował nierealistyczne środki wyrazu. Ekspresjonistyczne, pełne makabry obrazy, smutna groteska, dowolnie kojarzone metafory — zaciężyły nad warsztatem twórczym Różewicza. Była to poezja nieraz głęboko przejmująca, ale w gruncie rzeczy przeznaczona dla mieszczańskiego czytelnika, chłoniącego z zadowoleniem jej smaczki, dekadentyzmu i poza — historyczny charakter. Były to przecież lata 1947 i 1948...

Niemniej już w pierwszych wierszach można było odczytać ich zasadę twórczą, z której poeta nie zrezygnował na przestrzeni całej swojej działalności poetyckiej. Jest to poezja faktu — kojarzenia obrazów pozbawionych komentarza. Siła lirycznej oddziaływania w wierszach Różewicza polega na umiejętnym zestawieniu obserwacji. Przekonamy się za chwilę, czy metoda ta daje pozytywne rezultaty w poezji związanej z aktualną tematyką polityczną.

W trzeciej z kolei książce „Pięć poematów” — 1950 r.) znajdujemy już akcenty zainteresowania się światem ludzi żyjących, pracujących i walczących znajdujemy jasne i mocne wiersze „Ballada o karabinie” i „Nie kładź mi ręk na sercu”, poświęcone walce z imperializmem (pierwszy i walcie klasowej na wsi polskiej). W innych jednak utworach o tematyce współczesnej realia są zagnatowane, poeta zadowala się cytatem z

prasy, kapitalizm przedstawia jako apokaliptyczną bestię, co — jak wiemy — jest antyrealistycznym, demobilizującym środkiem oddziaływania na czytelnika.

Równocześnie odzywa się samokrytyczny głos poety. Różewicz podaje pod wątpliwosc swą dotychczasową postawę twórczą, widzi nieprzystatność swej poezji dla robotnika, w stosunku do którego odczuwa albo inteligentkie oniśmienie („Skąd smutek”), albo przedstawia go oczami kółtuna, wroga klasowego (satyryczny wiersz „Widzenie i twórcza spryciarza”). Wojna i jej zbrodniczość dalej trwają w poezji Różewicza jako niewyczerpany temat do pesymistycznych rozważań.

„Pięć poematów” otwierało dwie drogi rozwojowe, z których jedną poeta musiał wybrać: 1) droga nihilizmu i zupełnego oderwania się od rzeczywistości; 2) droga prowadząca do powiązania poezji z życiem społeczeństwa, do oczyszczenia jej z naleciałości nierealistycznych, z obcych nam ideowo elementów dekadentyzmu.

Wiersze z tomu „Czas który idzie” dostatecznie nas przekonują, że Różewicz wybrał drogę trafną i społecznie wartościową. Być może, że książka ta jest artystycznie uboższa od poprzednich, że jesteśmy świadkami pewnej rezygnacji z tak bardzo ambitnych założeń artystycznych jakie poeta dotąd sobie stawiał. Są to objawy, które muszą towarzyszyć krystalizowaniu się ideologii poety, który chce obecnie stanąć na jednej linii walki i pracy z budującym socjalizmem społeczeństwem.

Różewicz sięga do problemów walki o pokój, budownictwa socjalistycznego i socjalistycznej moralności, jeden z najlepszych swych wierszy poświęca wojnie na Korei — zagadnienia te rozwijał wreszcie naogl ślusznie — czyli, że przełom z stał dokonany.

Poeta, dzięki wrodzonej mu szczerości artystycznej i prawdziwie przeżyca umie dziś mówić o sprawach ogólnospołecznych przez pryzmat osobistego wzruszenia („W ciemny tak drogi okupionej”, „Rozmowa z matką”). Jest to umiejętność niezwykle cenna, ponieważ wiersze te poruszają bardzo istotne problemy współczesności wolne są od błędów deklaracyjności i frazesu, a przekonują swą artystyczną argumentacją podaną językiem skupionym i szczerym.

Krytyka własnej postawy poetyckiej trwa. Mówią o niej wiersze „Nie śmieć”, „Wodę oczami” — jakże jednak inaczej ją rozwijając niż to miało miejsce w „Pięciu poematach”? Wtedy poeta bał się dotknąć własną robotnicę — dziś mówi wprawdzie jeszcze:

„Stare wiersze opadają ze mnie o nowych nie śmiem jeszcze marzyć

o nowej poezji, którą można przeczuć w chwili szczęśliwej” („Nie śmiem”)

ale zaraz dodaje: „Wraśm na życie coraz głębiej i szerzej

i mocniej kocham ziemię deptaną ludzkimi stopami” („Wodzę oczami”)

Różewicz coraz skuteczniej wyzwala się ze swych obciążeń i oporów ideowych, nie porzucając jednak tego, co w jego dawnym warsztacie twórczym było naprawdę cenne i co może dobrze służyć nowym treściom. Poeta nie zaniechał metody „nagiego faktu”, w dalszym ciągu stara się zestrzącać odeszwające i obrazy, chociaż nie zawsze daje to pomyślne wyniki. Mam tu na myśli wiersze „Wodospad”, „Pejzaż”, „Powrót z lasu”, „Szedłem Nowym Światem” i podobne, będące tylko blahymi pejzażkami i nieraz (jak również w wypadku skądinąd ciekawego wiersza pt. „Trokiłność robotnicza o wspólne”) przesadnie sproszkowanymi. Natomiast w utworach o poważnej problematyce (np. „W ciemny tak drogi okupionej”, „O małości piosenka”) Różewicz ożywia najlepsze tradycje swej poezji, poezji precyzyjnej obserwacji, głębokiego liryzmu, celnego obrazowania, poezji przemawiania tonem intymnym i szczerym. Oto przykład:

„Nad kolebką płacze szczęśliwy  
Głową chowa chłopisko w rękawy wstyd  
wielki  
Taki czarny i groźny i straszny  
i bohater sławny  
tak drży listek mały wierzbowy  
tak się trzęsie żołnierz ogromny  
radziecki  
płowy  
lew  
(„O małości piosenka”)

Trudna i długotrwała droga rozwojowa Różewicza nie jest jeszcze zakończona. Niemniej stadium przełomowe poeta ma już za sobą. Dlatego wypada zająć pewne aprobaty i wiary stanowisko wobec słów poety z wiersza „Obietnica”:

„Stworzę dla was obraz nowy  
pożywny i pełen ciepła

— wy z twarzą w słońcu  
dzieci moje.” (C. d. n.)

Leszek Herdegen

1) Tadeusz Kubiak: „Ballady i pieśni”, „Czytelnik”, 1950, str. 88.  
2) Witold Wirpsza: „Polemiki i pieśni”, „Czytelnik”, 1951, str. 45.  
3) Tadeusz Różewicz: „Czas który idzie”, „Czytelnik”, 1951, str. 35.

MICHAŁ ISAKOWSKI

## BOHATERSKA MATKA HISZPAŃSKA

Zgiełk niedawnej bitwy umilkł.

Przy słońce w martwej ciszy.

— Gdzieżeś, córko? Gdzieżeś, droga?

Szukam ciebie nadaremnie.

Czy nie słyszysz, jak cię wołam:

Czy niesieście cię spotkało?

Rzeknij słowo. Twoja matka

nieśie wodę ci do picia.

Córka milczy, brak jej głosu.

Nie wybiega, aby witać

matkę, i z jej rąk nie bierze

wody czystej i źródlanej.

Na palącym znoju, głowę

ma jakby zasnęła twardo.

Zacisnęła w rękę strzelbę,

a piach syplący jest skrwawiony.

Potargana suknia barwna,

rozrzucony włos warkocze,

a żrenice bardzo ciekawe

spoglądają nieruchomo.

Matka oczy jej zamknęła,

obca słowom i rozpacz.

Matka sama ją grzeblała,

w cieniu zielonego krzaka.

Na mogile usypanej

położyła kamień szary,

ale pasmo włosów córki

zachowała i jej strzelbę.

Z bronią w ręku poszła z ludem.

który bliski był jak córka,

aby wspólnie bić faszystów,

aby razić wroga śmiercią.

Tak jej droga była wielka

sprawa i ojczysta ziemia

i wspomnienie tamtej wody,

której córka nie wypila.

Szła, a serce niosło boleść,

lecz też gniewem nabrzmiewało.

Serce jej płakało, ale

była zemsty pieśń głośniejsza.

Przełożył GRZEGORZ TIMOFIEJEW



MARIAN WILK

# Jeszcze o wierszach Henryka Gaworskiego

Krytyka literacka zwróciła już uwagę na Henryka Gaworskiego, młodego utalentowanego poe-ty, który różnorodnością zainteresowań poetyckich i świeżością ich ujęcia wyróżnia się spośród grupy najmłodszych, debiutujących w ostat-nych latach. „Czytelnik” niedawno wydał jego pierwszy zbiorek „Przed nami życie”. We wszystkich do-tychczasowych recenzjach podkreślono wagę ambitnej próby podję-cia przez Gaworskiego rzadkiej jeszcze w naszej poezji współczes-nej tematyki, obejmującej także liryczne, wyrażające osobiste uczucia człowieka pracy, jego stosunek do przyrody, jego widze-nie krajobrazu. Dlatego do zagad-nień raz już poruszonych nie be-dziemy powracać; doręczymy nato-miast garstkę krytycznych uwag odnośnie oceny pewnych momen-tów w utworach młodego poety, oraz kilka uwag dotyczących nie-kórych na ogół częstych błędów Gaworskiego.

## I

W tomiku Gaworskiego mamy tylko jeden utwór dotyczący bezpośrednio budownictwa socja-listycznego. Jest nim wiersz p.t. „Przy budowie”. Na podstawie tego można by przypuszczać, że Gaworskiemu lepiej odpowiada liryka „osobista”, wiersze „lirycz-no - wzruszeniowe”. Przypuszcze-nie takie nasuwa się po przeczyta-niu całego zbioru, w którym naj-większą ilość wierszy należy właś-nie do tego rodzaju. Czy z tego jednak należy wysnuć wniosek, że Gaworski powinien ograniczyć się jedynie do tego typu wierszy, że nie powinien ingerować także w inne dziedziny naszego bogatego życia, — jak to sugerowali niek-tórzy krytycy? Oczywiście, że nie. O ile wiersze posiadające charakter „kameralny”, „osobisty” w swej realizacji artystycznej są bardziej udane od niektórych wierszy ściśle politycznych, to bynajmniej nie zobowiązują młodego poety, by zrezygnował z tych ostatnich. To także nie zwalnia krytyka z obo-wiązku, by się bliżej zajął wierszami mniej udanymi, by pomógł poecie, ukazując na błędy wierszy ściśle „politycznych”.

Wiersz „Przy budowie” jest chy-biony zarówno ideologicznie, jak i artystycznie. Podejmuje w nim Ga-worski opis pewnego odcinka bu-dowlanego i zamiast realistycznego obrazu daje upstrzony biologicz-nymi, czasem wręcz naturalistycznymi elementami opis:

„Winda skowyczy,  
jak złe psisko —  
słociku w twarz  
strumieniem kurzu  
rzyga,  
na zwalach gruzu  
kopaczka kły zaciska,  
w żelaznym pysku  
dwie  
tony  
ziemi  
dźwiga”.

„Skowyczy”, „złe psisko”, „rzy-ga”, „kły zaciska”, „w żelaznym pysku” — aż pięć przykładów błę-dów tego samego rodzaju w pierw-szej zwrotce stanowiło raz. Nikt nie miałby nic przeciwko takiej a-nimacji windy i kopaczki w wierszu, który by tego wymagał, w utworze świadomie stylizowanym. Natomiast w wierszu, który ma stanowić realistyczny wycinek na-szej rzeczywistości — to szkodzi, gdyż wypacza obraz rzeczywistości. Jest on dowodem braku pogłę-bionego stosunku do otaczającego go świata i braku rzetelnej ob-serwacji. I o tym przede wszyst-kiem należy mówić, a nie o rzeko-mej zasadniczej niedolności Ga-worskiego do „napisania dobrego wiersza politycznego”. Wprawdzie nie chcemy tu przeprowadzać zło-śliwych analogii między stanowi-skiem naszych krytyków, a pewny-mi chwyłami recenzentów obozu katolickiego, trudno jednak nie przypomnieć tu pouczającego incy-dentu na łódzkim zjeździe młodych polonistów, gdzie jeden z krytyków grupy „Dziś i jutro” przeprowadzał tezę o istnieniu odrębnego nurtu „politycznego” („bardzo szampa-owego”) i nurtu „osobistego” — („o wiele ciekawszego artystycznie”) w twórczości... Władysława Broniew-skiego, nieszczęśliwie, psującego swe wiersze „polityką”.

„Dwa nurty” u Gaworskiego do-strzegł Jan Błński („Życie Literac-kie” Nr 17); jeden nazwał „sielan-kowo - pejzażowym”, drugi zaś „wyróżnia się bezpośrednim zaan-gażowaniem politycznym” i stano-wi rodzaj politycznej publicystyki. Zastanawiam się, czy nie tkwi tu jednak zamaskowany błąd ideal-istycznego sufladowania „osobis-tych” i „politycznych” wątków. Wy-daje się niedorzecznością dopatry-wać się w twórczości młodego poe-ty przeciwstawnych sobie dwóch nurtów i równocześnie nazywać go poetą „współczesnym”, poetą, który pisze „socjalistycznie” także o przy-rodzie, miłości i wielu innych sprawa-ch, dotychczas przez niektórych twórców omianych. Wydaje się także rzeczą niemożliwą pisać o wszystkich tych rzeczach „socja-listycznie” i równocześnie... „sielan-kowo”.

Poezja Gaworskiego nie rozpad-a się na dwa nurty; jest pozornie tyl-

ko rozdwojona. Tkwi w niej pew-na nie ideowa łącząca zarówno u-twory ściśle polityczne, jak i inne, nie zahaczające bezpośrednio o aktualne tematy chwili bieżącej. Nawet w takich wierszach jak „Sposreżenie”, „Chwila z dzie-wniny”, „Dzielnym głosem”, „Wi-dzenie” wyczuć można oddech na-szej rzeczywistości. To, że Ga-worski zaatakował sferę ludzkich uczu-ć i doznań wszechstronnie obja-wiającego się życia — miłość, uczucie, zadolenia i radości z dokonanej pracy, nowy stosunek do przyrody — to nie jest wcale błędem, ale raczej prostoty kształcie artystycznym, wzruszenia i bynajmniej nie fałszywej naiwności — należy uznać za pozytywną stronę jego liryki. Niektórych jego potknięć nie wolno absolutyzować, oskarżając go bez-zadnych „okoliczności łagodzących” o sielankę, cukierkowość czy hurra- optymizm. W większości wypadków młody poeta daje wyraźny dowód, że daleki jest od jakiegokolwiek idealizacji rzeczywistości, idylli, arka-dyjskiego spokoju. W wierszach je-go są elementy dynamizujące opis, refleksję, wzruszenie:

„Droga —  
kreska brunatna  
rozdziera lasu atlas.  
Na drodze ślad traktora  
w twardą glebę się wora!”  
(„Droga”)

albo:

„W moim pięknym kraju  
i w moim mieście  
życie jest wiosna,  
wiosna — pokojem.  
  
W moim pięknym kraju  
i w moim mieście,  
ludzie pracują  
walcząc o szczęście.”  
(„Dzielnym głosem”)

Półowiczna ocena twórczości młodego poety nie jest jedynie nie-właściwym załatwieniem się z nim, jego wierszami, próbą pomówienia go o rzeczy, jakich w jego wierszach nie ma — to zarazem dowód, że nie należy stosować starych szablonów krytyki do nowej socja-listycznej poezji; jest to również dowód niezwiązania się krytyka li-terackiego z dzisiejszą rzeczywisto-ścią, niedostrzegania tych podsta-wowych zmian, jakie dokonały się i jakie nadal dokonują się w psy-chie człowieka pracy. W życiu bu-dowlanego naszej bezchmurnej przyszłości są surowe doświadcze-nia, smutki, troski, gorzkie nie po-wodzenia, a są również chwile od-poczynku po ciężkiej pracy, najin-tymniejże doznania, jest, szczęście z odniesionego zwycięstwa w twórczych zmaganiach. I gdy się zna-jdzie odważny — na dodatek po-czątkujący poeta — który próbuje się zmierzyć z tą trudną i odpowie-dzialną tematyką, Lepiej będzie je-śli oberzemy inną drogę, odnajdzie-my w jego twórczości owo „nowe”, to co wyróżnia jego wiersze od dawnych traktujących o tych sa-myh sprawach właśnie sielankowo, właśnie naiwnie. Lepiej będzie jeżeli pomożemy młodemu poecie, wskazując na źródła jego błędów, sposób ich przezwyciężenia.

Tylko wiersze „Nastroj majowy”, „Próba w kochaniu”, „Stara baśń i „Południe nad rzeką” są pogro-bowcami owej beztroski, nastroju wczasowego, kontemplacyjnego sto-sunku do przyrody, jaki spotykamy w utworach poetyckich pierwszych lat dwudziestolecia międzywoj-ennego. W jednym ze swych artyku-łów Gorki pisał, że „poeci minio-nych czasów zachowywali się pięk-nie i darami przyrody jako rol-nicy i właściciele ziemscy, jako „dzieci przyrody”, w istocie zaś jako jej niewolnicy...” Gaworski w powyż-szych wierszach jest niewolnikiem nie tylko przyrody, ale również beztroskiego samozadowolenia. Dla-czego? — Utwory, o których mowa, napisane zostały w 1949 roku, kie-dy Gaworski nie zajmował zdecy-dowanej postawy ideowo - politycznej; dziś już nie popienia tego rodzaju błędów.

O ile owa prostota, ujmująca szczerze i bezpośrednio spotyka-na u Gaworskiego przypomnia wiersze takich poetów radzieckich jak Issakowski, Szczepaczow, o tyle przed chwilą omówione błędy podseptują nam inne powinowa-ctwo — przypominają pewien typ wierszy Staffa. Zgadamy się z ni-mi dopóki chodzi o realistyczny tok obrazowania, niefalszowany liryzm, ale tam, gdzie się zaczyna „niewol-nicz” stosunek do przyrody i lud-zkich uczuć, tam gdzie poeta za-cyna mówić o „wiosnie, miłości i smutku”, „balsamie” na „uraz ser-ca”, o „śpiwce”, „ptakach uspio-nych”, gdzie zaczyna używać re-kwizytorskich efektów w rodzaju przymiotnika „cudowny”, metafo-ry „aksamit spokoju” itd. — tam już zgłaszamy sprzeciw, domagamy się od poety większej kontroli i krytycznego stosunku do przeszło-ści kulturalnej swej ojczyzny.

## II

Wśród utworów zawartych w to-miku „Przed nami życie” wyróżnia się i zasługuje na szczególną uwagę poemat „Pieśni o pierwszym wieku”. Utwór ten składa się z wie-ściu rozdziałów, z których każdy

mógłby stanowić odrębną całość. Powiązane są one ze sobą dość luźno i trudno tutaj mówić o pod-stawowej koncepcji artystycznej, przenikającej utwór jako całość, wiążącej konsekwentnie wszystkie siedem rozdziałów. Autorowi cho-dziło o upoetyzowanie wielkiego smutku dziejów, związanego z po-jawieniem się partii proletariackiej, prowadzonej przez genialnych wo-dzów: Marksa, Engelsa, Lenina, Stalina. Poeta skróciło mówi o walce klasy robotniczej Polski i jej Partii z faszystującą sanacją, z oku-pantem hitlerowskim, o walce o wykonanie planów produkcyjnych, walce klasowej na wsi itd. Autor dążył do rzutowania tego wszyst-kiego na szerszy ekran, uwzględ-niając walkę międzynarodowego proletariatu, historyczną rolę Pań-stwa, Związku Radzieckiego jako państwa konsekwentnie wal-czącego o pokój, realizującego gi-gantyczne plany ujarznienia przy-rody. Utwór jako całość zawiera wiele momentów ciekawych; prze-konywujących, o niebanalnym mi-ąższu poetyckim. A co jest najwa-żniejsze, i co jest klamrą wiążącą wszystkie utwory — to promieni-jąca duma z chlubnej przeszłości, nieugięta wiara w teraźniejszość i przyszłość.

W tym utworze, jak i w wielu innych, dał nam Gaworski kilka-nastkę krótkich zwrotek o mocnym ładunku emocjonalno - ideowym. W innych, nawet dłuższych wierszach, wyszedł obroną ręką, po-trafił zapanować nad swoją wyo-brażnią, tokiem kojarzeń, potrafił z dużą umiejętnością hierarchizować treści poetyckie swych utworów. W wierszu „Pieśni o pierwszym wieku” dowiódł także, że umie prze-sysać zwrotki treścią o dużym cięż-arze gatunkowym, że potrafi o wielkich i trudnych rzeczach mó-wić prosto, artystycznie przekon-ywująco i, co jest najważniejsze — lapidarnie:

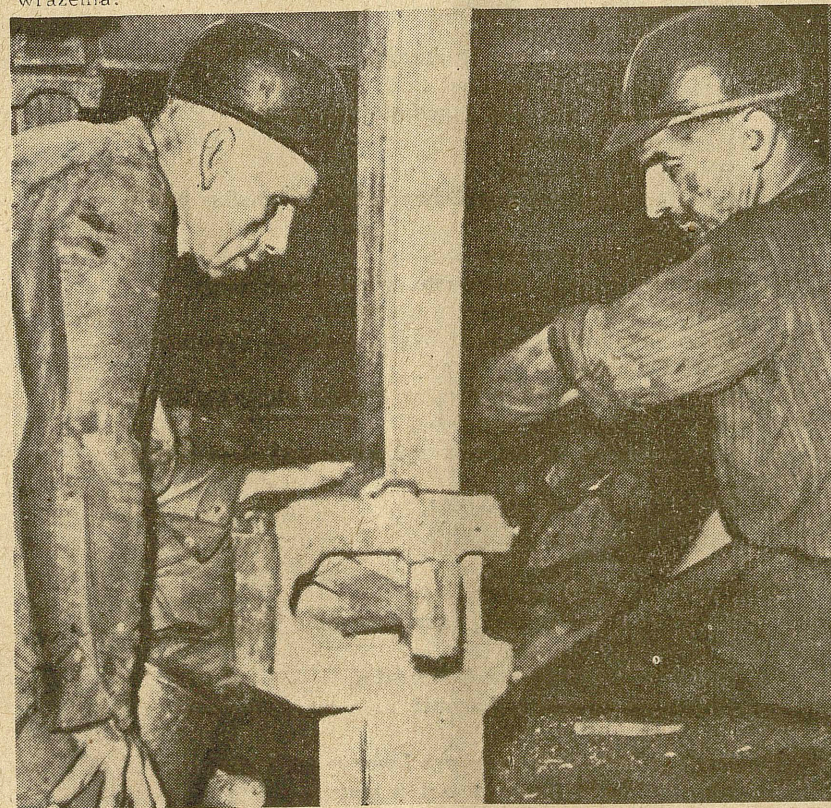
„Wieku coś rozbił  
w salwach „Aurory”  
do szturmu idąc —  
wyprostował się  
plecy historii  
smagane krzywdą”.

Nie znaczy to bynajmniej, że po-e-ta zawsze potrafi znaleźć celny od-powiednik słowny dla swych myśli. Tak samo nie zawsze potrafi odr-óżnić rzeczy o dużej wadze od rzeczy mniej ważnych, czasem na-wet drugorzędnych. Detal jest waż-ny — lecz trafny, celny detal. Za-pominając o tym, ustawiając wszyst-ko jak jednej „plaszczynie” można bardzo łatwo dojść do ideologicz-nie fałszywych wniosków, z gruntu rzeczy błędnej retoryki:

„Nie łatwo serce  
przenieść przez rozpacz,  
przez ból przemycić.  
Lecz wola rosła  
i Partia rosła  
dla walki i zwycięstwa”.

(„Pieśni o pierwszym wieku”)  
Ów szczegół z „rozpacz” wyda się powierzchownemu czytelniko-wi związany z siłą, o której Ga-worski przez cały czas mówi, z pro-letariatem i jego strażą przednią — Partią. Czyżby Gaworski nie wie-dział, iż rozpacz właściwa jest je-dynie klasom odchodzącym, upa-dającym, że nie można jej usta-wiać na tym samym poziomie co przewodniczkę mas ludowych? — Jest to poważny błąd ideowo - ar-tystyczny, wynik ulegania urokom szczegółu, słabej kontroli w dobie-raniu poszczególnych elementów zdania poetyckiego.

Jest jeszcze jedna groźba czu-tajaca na Gaworskiego — tendencja do stylizacji na gawędę, którą kil-kakrotnie spotykamy w zbioru. Jest ona wyrazem dążenia do więk-szej komunikatywności, do więk-szenia emocjonalnej siły wiersza. Niestety rezultat jest najczęściej odwrotny — zamiast spotęgować wyrazistość wiersza, prostotę wy-razu poetyckiego, osiąga się rozwo-dnienie, neutralizację doznanego wrażenia:



Pierwszy kómbajn węglowy, produkcji polskiej w kop. Zabrze - Zachód.

„Eh, wy —  
wytworni politycy,  
twórcy praw...”  
(„Słowo o sobie”)

„Eh, wy”, „zaczepię” z „Lojal-ności małżeńskie” i jeszcze kilka przykładów przeszkadza; w dodat-ku, to ustępstwo na rzecz łatwi-ny...

Ogólnie rzecz biorąc w wierszach młodego poety jest coś wzru-szającego. To na pewno nie owa lekkość, czasem melodyjność, nada-jąca niektórym utworom swolsty wdzięku, ale to na pewno potencjal-nie istniejący nurt ideowo - emo-cjonalny, który niby rzeka pod-skórna przepływa pod powierzch-nią jego wierszy. Najczęściej pier-wiastek ten jest stonowany; innym razem odnosi się wrażenie, że prze-szcząony jest przez filtr czułości poetyckiej (Np. opisowe początki wielu wierszy). Bywają jednak wiersze, w których pierwsiastek ten wytryska jak zdrój, niepowstrzy-manie, a i z punktu widzenia logi-ki artystycznej utworu — niepo-trzebnie i wtedy spokojna, opano-wana retoryka nabiera rysów fałszywych, nieprzekonywujących. Na-gły przyływ tego nurtu sprawia wrażenie podobne do tego z jakim obserwujemy mówcę, któremu entuzjastyczne przejęcie się tematem odbiera dar logicznego przemawia-nia. (Dla przykładu wymienię wiersz „Słowo o sobie”, w którym od słów: „Lecz nas karmiono wzgardą, wyzyskiem, krzywdą...” mamy do czynienia z takim zjawis-kiem).

Gdyby się bliżej przyjrzyć zagad-nieniom formalnym debiutu Ga-worskiego doszlibyśmy do wniosku, że układ poetycki jego utworów nie jest rozluźniony, anarchiczny; dosz-libyśmy do wniosku, że jest w nim umiarkowanie obrazowania, że po-szczególne elementy jego wiersza na ogół podporządkowane są cało-ści. Co prawda nie zawsze mamy tutaj do czynienia z rozrastaniem się jednego obrazu w poszczegól-nych zwrotek. Jest kilka obraz-ów luźnie skojarzonych tą samą ideą poetycką („Sposreżenie”, „Wieczór”, „Droga”, „Dzielnym głosem”). Przypominamy o tych rzeczach pozytywnych i cennych, by zachęcając do momentu groźny — owe wybuchy retoryczne, burzą-ce właśnie ten logiczny układ i przejrzystość wierszy Gaworskiego. Z tym związana jest inna sprawa także natury formalnej: Gaworski w krótszych utworach liryczno - wzruszeniowych posługuje się re-gularną budową wiersza; gdy na-tomiast chce przejść do szerszego obrazu, udrumantowanego przedsta-wienia pewnego odcinka rzeczywi-stości lub historii staje przed po-ważnymi trudnościami, zaczyna u-żywać swobodnej frazy wolnego wiersza i tutaj mu się zdarzają czę-sto poważne potknięcia artystycz-ne: rytm jego wolnego wiersza nie wytworza złudzenia czegoś koniecz-nego, niezastąpionego — wydaje się sztuczny. Gdyby takie wiersze („Pieśni pokoju”, „Przy budowie”, „Słowo o sobie”) obdrzeć z kilku metafor, porównań, epitetów — od-mowy potocznej różniłyby je tylko układ graficzny. Tak samo niepo-koją budzą dziwaczne metafory w rodzaju „Spadochronu obłoków”, „Wodopój zmierzchu” i in.

W zbiorze Gaworskiego przewa-żająca ilość wierszy jest dobra i choć jest jeszcze sporo niezadowa-lających, ogólna ocena wypadnie jednak na korzyść młodego poety. Choć z tego zbioru wyłaniają się już smiałe kontury indywidualno-ści poetyckiej Gaworskiego, powi-nien on jednak dalej dopracowywać się własnego wyrazu poetyckiego, powinien uczyć się rzemiosła ar-tystycznego. Niewątpliwie winien też rozszerzyć wachlarz swoich zainte-rosowań o tematy „produkcyjne” o tony epiki, przekazujące obraz człowieka przetwarzającego rzeczy-wistość.

Marian Wilk

Z prasy radzieckiej

## Czytelnicy o literaturze dla dzieci

Maksym Gorki opublikował w ro-ku 1931 część listów, otrzymanych od dzieci. Na marginesie tej oso-łiwiej korespondencji wielki pisarz zauważył: „Bardzo dużo dzieci pi-sze do mnie. Dumni jestem z tego i uważam, że mam prawo być dum-ny. Wiem, że nie jestem jedynym literatem w Związku Radzieckim i jestem przekonany, że inni ciesz-ą się niemiejszym szacunkiem dzie-ci. Ale jeszcze bardziej jestem prze-konany, że w krajach burżuazyj-nych nie ma pisarzy, którzy cieszy-liby się takim szacunkiem i sym-patią dzieci, jakim darzą nas, ra-dzieckich pisarzy, radzieckie dzieci. Tam nie ma takich pisarzy i nie może ich być, bo tam nie ma jesz-cze dzieci zrodzonych przez rewolu-cję socjalistyczną”. Gorki na dowód swej tezy przytacza przykład możli-wy jedynie w Związku: list zbior-czy, zobowiązanie delegatów na pierwszą wszechzwiązkową zjazd korespondentów (!) dziecięcych, że-by dostarczać pismu „Nasze osią-gnięcia” materiały o udziale dzieci w budowie i wypełnieniu pięciolatki w ciągu czterech lat.

Udział pisarza i udział dziecka w realizacji dzieła socjalizmu — oto co w Kraju Rad związało książkę „poważną” z nowym dziecięcym czy-telnikiem. Dzieci radzieckie czytają pisarzy i odnoszą się z wielką mi-łością do twórców, którzy umieją dać żywe obrazy bliskiego im życia. Dlatego literatura dla dzieci to te-mat „poważny” — wychowanie kadr przyszłych czytelników.

Ten temat nie schodzi ze szpałt radzieckich dyskusji. Gorki był pierwszym pisarzem radzieckim, który pobudził zainteresowania ko-łegów po piórze: ułożył antologię dziecięcą „Choinka”, stworzył pod-walmy wydawnictwa „Dietgiz”, zna-nego obecnie szeroko i w Związku i poza jego granicami.

Od czasu Gorkiego literatura dla dzieci ma olbrzymie osiągnięcia, zdobyła, wyrażając się w milio-nach egzemplarzy książek i dziesiątkach milionów czytelników. Są pisarze, jak Marszał, Michal-kow, Barto, których sława wyrosła przede wszystkim z uznania dzie-cięcych czytelników.

Tym „poważniej” traktuje czytel-nik radzieckiej literatury dla dzieci, tym większą darzą ją troskliwością i zainteresowaniem. Poziom litera-tury dla dzieci, jej drogi rozwoju — oto zasadnicza treść wielu dyskusji radzieckich.

Ostatnio najnowszy numer mie-sięcznika „Nowy Mir” w dziale pt. „Trybuna czytelnika” opublikował listy czytelników radzieckich na te-mat literatury dla dzieci. Wypo-więdzi że trzeba znać jako zna-mienną, ponieważ głos zabrali i do-rośli i młodzież szkolna, a przede wszystkim czytelnicy o różnych za-wodach z najrozmaitszych miast i miejscowości ZSRR.

Autor listu pt. „Dobry upominek dla dzieci” omawia zalety treściowe i wydawnicze zbioru wierszy Pawła Tuczyni „Wyszyjemy Stalinowi portret”. Mówi zupełnie szczerze: „O książkach dla dzieci w wieku przedszkolnym należy mówić tak samo poważnie jak i o powieściach dla dorosłych”. Czytelnik przypo-mina nie nową prawdę, że dzieci czują prawdziwą miłość do siebie i natchniami na nią reagują. Ta miłość — to i treść książki i jej for-ma. „Przedmowa” oprawa, „praw-dziwy” wygląd książki, dobry pa-pier, pięknie dobrane ilustracje, sta-ranność w robocie — to wszystko, co poważnego traktowania książ-ki, wprowadza dzieci w świat czy-telnictwa. Autor listu przestrzega przed niedbałością w zakresie wy-dawniczym i podkreśla, że krytycy przy ocenie literatury dla dzieci powinni także oceniać jej wartość, że tak powiem, wydawni-czo-formalną. Pięknie, „na serio” wydana książka „jak dla dorosłych” uczy miłości literatury już u progu życia.

Inny czytelnik w liście pt. „Nie-wybredni poeci” omawia plan poe-tycki, opublikowany w roku 1950 przez znane pismo dla dzieci „Mu-rzilka”. Na przykładzie złych i do-brych wierszy czytelnik udowadnia, że dla dzieci należy pisać tak samo jak dla dorosłych, tylko że lepiej. Nawołując do wystąpienia Nadie-dy Krupskiej przeciw tendencji in-fantylnemu w literaturze dla dzieci, czytelnik ów żąda od pisarzy „do-kumentacji” utworu, to jest pełnej znajomości sprawy, o której się pi-sze. „Dzieci — pisze — czujnie czy-tają wiersze i przeprowadzają szcze-gółowy rozbiór utworu, chcą do-wiedzieć się co jest „wewnątrz” i co „do czego służy”. Zapewnie jak z za-bawkami”. Dlatego poeta powinien mieć pełną życiową znajomość sprawy, o której pisze, i powinien umieć przekazać te treści w bezwzględnie wzorowej formie. „Poeta — stwier-dza krytyk-czytelnik — nie może poprzestać na urodzonym talencie, lecz musi umieć gospodarować swym uzdolnieniem, musi dążyć do tego, by po robocie poznano mi-strza. Poeta powinien troszczyć się o to, żeby utwór jego tak w ca-łości, jak w każdym szczególe — w każdym wierszu, w każdym zdaniu, w każdym słowie — minął peł-nym wyraz artystyczny, pełną war-tość, a pozbawione były sztuczności i językowych nieścisłości”.

List pod tytułem „Dwa ważne problemy” protestuje przeciw temu, by z negatywnych postaci robiono



W. N. Mariupolski

głównych bohaterów, i przeciw za-śmiecaniu języka literackiego prze-znaczonego dla dzieci, żargonem albo prowincjonalizmami. Autorka listu, zresztą współpracowniczka dziecięcych i młodzieżowych biblio-tek w Leningradzie, powołuje się słuszenie na wysoki wychowawczy przykład bohaterów pozytywnych Gajdara. Czego zaś nauczyć się dzieci od typów negatywnych? Oczywiście autor powinien je ukazać, ale po to, by przedstawić proces wykorzenie-nia wad. W planie drugorzędnych i trzeciorzędnych postaci taki proces ma miejsce bez szkody dla umysłu czytelnika. Ale na pierwszym, czo-łowym miejscu? W dziele artysty-cznym czołowy bohater skupia na sobie uwagę czytelnika i wymaga największego bogactwa charaktery-styki, jest barwny, sugestywny. „Ale — zauważa szczerze autorka — jeśli jest to bohater negatywny, to skupia-jąc na sobie całe bogactwo barw, jakimis rozprządza paleta ar-tysty, bohater taki odbiera te bar-wy postaciom dodatnim a drugo-rzędnym”. Gdzie więc jest tu przy-kład pedagogiczny? Czy postać ne-gatywna może być głównym boha-terem w dziele realizmu socja-listycznego? — zapytuje autorka li-stu i udowadnia, że jest to niewła-ściwe i w stosunku do dzieci nie-wychowawcze. Gdyż „młody czytel-nik wierzy w realność literackiego obrazu i jeśli bohater literacki jest mu bliski, to czytelnik usiłuje go naśladować, być takim samym”.

Drugi problem — walka o czy-stość języka. W literaturze dla dzie-ci język gra szczególną rolę; wbo-gała słownictwo dziecka, pobudza proces myśli. Czy zatem autor ma prawo „dawać zeszepeconą mowę, żargon, język, zaśmiecony prowincjonalizmami albo wulgarnymi sło-wami i słówkami”? Czytelnik ra-dziecki uważa, że zeszepecony język stanowi smutne dziedzictwo prze-złości, z którym należy walczyć. Zeszepecony język nie wzbogaca kul-tury dziecka. „Nie naturalistyczne naśladowanie żargonu — czytamy w liście — stwarza artystyczny o-braz, ale odzwierciedla wewnętrzny przeżyty bohatera, jego stosunku do otaczającego życia, jego dążeń i celów. Od wewnętrznej treści do zewnętrznej formy i do językowej cha-rakterystyki bohatera — oto właści-wa droga”, konstatuje autorka listu.

Inny czytelnik wypowiada się na temat aktualności utworów dla dzie-ci, uważa, że literatura dziecięca wleceze się w ogonie politycznych wypadków i w kraju i zagranicą. Dlatego żąda spopularyzowania dzieł literatury dla dzieci o tematyce naukowo-fantastycznej w odpowied-nie rysunki, także w ścisły artykuł naukowy na dany temat oraz komen-tarze. Rady słuszne, godne uznania i na naszym terenie.

„Jestem żołnierzem Armii Czer-wonej, szeregowym czytelnikiem” — tak rozpoczyna się „szary” list z ko-szar. „Szary”, ale także ciekawy. Mówi o właściwym przedstawieniu roli ludu w bylinach. Podobnie wy-powiada się autor poprzedniego li-stu na temat ludowych bajek rosyj-skich. Byliny i bajki to skarbnica rosyjskiej twórczości ludowej. Czer-pią z tej skarbnicy wyjątki, czerpią i pisarze, przetwarzając wątki ludowe na użytek dzieci. Ale w ka-żdym wypadku — stwierdza au-tor listów — należy pamiętać o tym, by we właściwym świetle ukazać historyczną rolę ludu, jego walkę z uciskiem książąt, jego dążenie ku lepszej przyszłości, mądrość i bo-gactwo duchowe. Dopiero wydoby-cie tego rewolucyjnego nurtu z twó-rzości ludowej spełni wobec dzieci rolę wychowawczą.

Grzegorz Timofiejew



STANISŁAW CIEŚLAK

## WNIOSKI NA PRZYSZŁOŚĆ

Gdy omawiamy tegoroczną jesienną akcję mającą na celu usprawnienie obrotów towarowych i finansowych między miastem a wsią, trzeba wyraźnie dostrzegać i odróżniać jej cele doraźne i cele długofalowe.



Foto WAF

Walka o usprawnienie planowego skupu zbóż i żywności, o realizację należności podatkowych i finansowych wsi jako się obecnie toczy z rosnącym napięciem w całej Polsce — nie ma tylko i wyłącznie na celu (jak się to wielu ludziom wydaje) przewycięcia trudności jakie się wyłoniły w naszej gospodarce w toku wykonywania zadań drugiego roku Planu 6-letniego.

Wykonanie zadań nakreślonych dla tej jesienną akcją w wyniku swym przyniesie niewątpliwie zwiększenie podaży ziemiohodowców ze strony rolnictwa, co wraz ze wzrostem produkcji i wydajności pracy, (o które w przemyśle, budownictwie i komunikacji zwycięsko walczy klasa robotnicza) przyczyni się do pewności do zgłoszenia odczuwanych przez kraj nasz trudności. Trudności, które można przeczyć przełamać jedynie na drodze zwiększenia produkcji i podaży, a nie na drodze jakiegokolwiek mechanicznego ograniczenia siły nabywczej ludności przez zwolnienie tempa realizacji naszego programu inwestycyjnego, który daje tak szybki wzrost zatrudnienia i funduszu płac i zwiększa z dnia na dzień siłę nabywczą ludności.

W całej jednak tej akcji z ogromną wyrazistością zarysowują się również i dwie inne sprawy.

Pierwszą z nich jest wyraźna troska władzy ludowej o dalsze zwiększenie możliwości inwestycyjnych i konsumpcyjnych drobnych i średnich gospodarstw chłopskich przez zwiększenie ich towarowości i przez rozszerzenie ich udziału na rynku, na którym obowiązują ustabilizowane i korzystne dla rolnika ceny.

Suma pieniędzy płynących na wieś z tytułu jej należności za dostarczone zboża, żywiec, ziemniaki itp. kilkakrotnie przewyższa sumy płynące ze wsi z tytułu podatku gruntowego FOR-u, składek ubezpieczeniowych, pożyczki narodowej i kredytów bankowych. Mało i średniorolni chłopcy po zakończeniu tej akcji posiadać będą więcej gotówki niż przed jej rozpoczęciem.



Foto WAF

I dlatego też nie jest wcale przypadkiem, ale wyciągnięciem logicznych wniosków z istniejącej sytuacji, fakt, że ta jesienna akcja zbiega się z walką o usprawnienie całego uspołecznionego aparatu zaopatrzenia wsi, zarówno w dziedzinie hurtu jak i w detalu, aby aparat ten był w stanie i pod względem ilości, jak i jakości oraz asortymentu rzucających na wieś towarów, zaspokoić rosnącą stale siłę nabywczą wsi.

Warto przy tym zwrócić uwagę na bezzasadność i płytkość argumentów wysuwanych głównie przez ludzi ulegających propagandzie elementów spekulacyjnych jakoby stała rozszerzanie kontraktacji planowego skupu pozbawiała chłopów tych „korzyści”, jakie mogliby uzyskać biorąc udział w obrotach

czarnorynkowych, sprzedając swe ziemiohodowcy i artykuły hodowli po cenach odbiegających w górę od cen państwowych.

O „korzyściach” wolnego od ingerencji państwowej rynku przekonali się chłopcy gruntownie w latach 1918—1939, kiedy to w rezultacie „swobodnej” i „wolnej” gry sił na rynku, prawie 75 proc. chłopów mało i średniorolnych zostało zepchniętych do poziomu gospodarki samozaprzęgniowej.

Wiadomą jest również rzecz, że w polityce cen nie ma żadnych cudów, że globalna suma kosztów produkcji towarów wytwarzanych przez nasze gospodarstwo narodowe nie może odbiegać od sum ich cen, choć możliwe są pewne przesunięcia w jedną i drugą stronę (tak np. państwo w trosce o sytuację biedoty wiejskiej świadomie sprzedaje cały szereg towarów, jak np. nawo-

zamiast i wsi, przemysłem a rolnictwem, klasą robotniczą a pracującym chłopstwem. Planowa jednak gospodarka polega na przestrzeganiu w produkcji i podaży nie tylko ilości, nie tylko jakości i asortymentu ale również terminów. Nowością tegoroczną akcją jesienną, która z pewnością już na stałe pozostanie dorobkiem naszej gospodarki, jest zwrócenie bacnej uwagi na przestrzeganie terminów w podaży artykułów rolnych i uszczelnieniu należności finansowych. W toku jesienną akcją wiele gmin i powiatów zaczęło pracować już nie tylko z miesięcznym, ale nawet z dekadowym planem w ręku. Ta cena zdobycz, która powinna być upowszechniona w całym kraju, a którą wynosimy z tegoroczną akcją jesienną będzie miała duże znaczenie dla jeszcze bliższego powiązania pracy naszego przemysłu (pracującego rytmicznie z coraz mniejszą ilością zrywów) z pracą naszego rolnictwa.

W warunkach kapitalistycznych nieregularność podaży i niepewność w dotrzymywaniu terminów podaży ze strony wsi wyrządzała wiele strat całej gospodarce, zmuszała do nadmiernych i zbędnych wydatków na magazynowanie płodów rolnych, przyczyniała się do nadmiernego przeciążania transportu (słynne przedwojenne jesiennie „szczyty” przewozów kolejowych, kiedy to w ciągu nierzadko kilku tygodni trzeba było przewieźć miliony ton buraków, ziemniaków, zbóż itp.) oraz wprowadzała zamieszanie w zaopatrzeniu wsi, która w IV kwartale realizowała z reguły trzy czwarte swego całorocznego zapotrzebowania na artykuły przemysłowe.

Otóż te dwie sprawy: walka o dalsze zwiększenie towarowości drobnych i średnich gospodarstw chłopskich, oraz dążenie do bardziej równomiernego (w okresie

zbyt sztuczne czy obuwie po cenach niższych od cen kosztów własnych). Ale nie ma takiej gospodarki, w której gwałtowna i chaotyczna zwyczajna cen rolniczych nie pociągnęłyby za sobą zwykłych cen artykułów przemysłowych.

Dlatego też wszelka pobłażliwość w stosunku do czarnego rynku przynosiłaby korzyści jedynie spekulantom, godząc i bezpośrednio i pośrednio w interesy mało i średniorolnych chłopów, tym więcej, że przecież problematyczne korzyści odnoszone ze sprzedaży na czarnym rynku są faktycznie dostępne jedynie dla chłopów mieszkających w pobliżu wielkich miast, wielkich rynków zbytu, wokół których opłata się głównie działalność spekulacyjna. Oslabienie ingerencji państwa na rynku, najmniejszego podważenie planowego skupu byłoby strasznym ciosem dla przeważającej większości chłopów.

Nasz handel uspołeczniony, nie pracuje i nie może pracować bezinteresownie i musi przynosić gospodarstwu narodowemu planowe zyski, ale jest wielkim nieporozumieniem przypuszczenie, że np. ściąganie nadwyżek towarowych z woj. rzeszowskiego, białostockiego czy koszalińskiego i zaopatrywanie ich ludności w artykuły przemysłowe po tych samych cenach co w ośrodkach ich produkcji przynosi ogromne zyski. Państwo ludowe, handel socjalistyczny niejednokrotnie dopłaca do takich operacji w trosce o wyrównanie zaoferowania gospodarczego i kulturalnego tych ziem peryferyjnie położonych od głównych w Polsce rynków zbytu, a tak upośledzonych i wyzyskiwanych w czasach kapitalistycznych, w trosce o uczynienie z planowego handlu koła napełniającego produkcję w drobnych i średnich gospodarstwach chłopskich.

Rozumieją to dobrze sami chłopcy i na zebraniach swych domagają się właśnie umocnienia planowego oddziaływania państwa ludowego na rynku i dalszego rozwoju i usprawnienia uspołecznionego, a nie prywatnego handlu.

Drugą sprawą przebiegającą z tegoroczną akcją jesienną jest coraz wyraźniej rysująca się konieczność umocnienia planowych stosunków ekonomicznych między

miastem i wsią, przemysłem a rolnictwem, klasą robotniczą a pracującym chłopstwem. Planowa jednak gospodarka polega na przestrzeganiu w produkcji i podaży nie tylko ilości, nie tylko jakości i asortymentu ale również terminów. Nowością tegoroczną akcją jesienną, która z pewnością już na stałe pozostanie dorobkiem naszej gospodarki, jest zwrócenie bacnej uwagi na przestrzeganie terminów w podaży artykułów rolnych i uszczelnieniu należności finansowych. W toku jesienną akcją wiele gmin i powiatów zaczęło pracować już nie tylko z miesięcznym, ale nawet z dekadowym planem w ręku. Ta cena zdobycz, która powinna być upowszechniona w całym kraju, a którą wynosimy z tegoroczną akcją jesienną będzie miała duże znaczenie dla jeszcze bliższego powiązania pracy naszego przemysłu (pracującego rytmicznie z coraz mniejszą ilością zrywów) z pracą naszego rolnictwa.

W warunkach kapitalistycznych nieregularność podaży i niepewność w dotrzymywaniu terminów podaży ze strony wsi wyrządzała wiele strat całej gospodarce, zmuszała do nadmiernych i zbędnych wydatków na magazynowanie płodów rolnych, przyczyniała się do nadmiernego przeciążania transportu (słynne przedwojenne jesiennie „szczyty” przewozów kolejowych, kiedy to w ciągu nierzadko kilku tygodni trzeba było przewieźć miliony ton buraków, ziemniaków, zbóż itp.) oraz wprowadzała zamieszanie w zaopatrzeniu wsi, która w IV kwartale realizowała z reguły trzy czwarte swego całorocznego zapotrzebowania na artykuły przemysłowe.

Otóż te dwie sprawy: walka o dalsze zwiększenie towarowości drobnych i średnich gospodarstw chłopskich, oraz dążenie do bardziej równomiernego (w okresie

zbyt sztuczne czy obuwie po cenach niższych od cen kosztów własnych). Ale nie ma takiej gospodarki, w której gwałtowna i chaotyczna zwyczajna cen rolniczych nie pociągnęłyby za sobą zwykłych cen artykułów przemysłowych.

Dlatego też wszelka pobłażliwość w stosunku do czarnego rynku przynosiłaby korzyści jedynie spekulantom, godząc i bezpośrednio i pośrednio w interesy mało i średniorolnych chłopów, tym więcej, że przecież problematyczne korzyści odnoszone ze sprzedaży na czarnym rynku są faktycznie dostępne jedynie dla chłopów mieszkających w pobliżu wielkich miast, wielkich rynków zbytu, wokół których opłata się głównie działalność spekulacyjna. Oslabienie ingerencji państwa na rynku, najmniejszego podważenie planowego skupu byłoby strasznym ciosem dla przeważającej większości chłopów.

Nasz handel uspołeczniony, nie pracuje i nie może pracować bezinteresownie i musi przynosić gospodarstwu narodowemu planowe zyski, ale jest wielkim nieporozumieniem przypuszczenie, że np. ściąganie nadwyżek towarowych z woj. rzeszowskiego, białostockiego czy koszalińskiego i zaopatrywanie ich ludności w artykuły przemysłowe po tych samych cenach co w ośrodkach ich produkcji przynosi ogromne zyski. Państwo ludowe, handel socjalistyczny niejednokrotnie dopłaca do takich operacji w trosce o wyrównanie zaoferowania gospodarczego i kulturalnego tych ziem peryferyjnie położonych od głównych w Polsce rynków zbytu, a tak upośledzonych i wyzyskiwanych w czasach kapitalistycznych, w trosce o uczynienie z planowego handlu koła napełniającego produkcję w drobnych i średnich gospodarstwach chłopskich.

Rozumieją to dobrze sami chłopcy i na zebraniach swych domagają się właśnie umocnienia planowego oddziaływania państwa ludowego na rynku i dalszego rozwoju i usprawnienia uspołecznionego, a nie prywatnego handlu.

Drugą sprawą przebiegającą z tegoroczną akcją jesienną jest coraz wyraźniej rysująca się konieczność umocnienia planowych stosunków ekonomicznych między

WOJCIECH SZMIDT

## Z frontu walki o wzrost hodowli

Najważniejszymi dostawcami i producentami żywności i produktów zwierzęcych na rynek, są dziś PGR-y, ale tylko jeżeli chodzi o rozmiary produkcji towarowej na hektar posiadanej ziemi. Gospodarstwa drobne nigdy nie dają tak wysokiej towarowości, jaką może stworzyć gospodarstwo wielkie, czy to państwowe, czy też spółdzielcze. Gospodarstwo drobne nie ma bowiem tych wszystkich możliwości jakie stoją do dyspozycji wielkiego organizmu gospodarczego. Jeżeli spółdzielnie produkcyjne, do tej pory nie dawały spodziewanej towarowości w dziedzinie produkcji zwierzęcej, to przyczyna tego leżała w niedorozwoju hodowli w stosunku do produkcji roślinnej.

Analiza osiągniętych w roku 1950 przez spółdzielnie produkcyjne w Polsce dochodów wykazuje, że 72,9 proc. dochodów wszystkich spółdzielni produkcyjnych w roku 1950 dała produkcja roślinna, 26 proc. przypadało na dochód z produkcji zwierzęcej a 11 proc. to dochód z przedsiębiorstw pomocniczych.

Organizacja każdego nowego gospodarstwa zaczyna się od produkcji roślinnej — a więc najpierw spółdzielnia musi myśleć o zasiewach, o pielęgnacji upraw, o sprzęcie. Musi nastawić całą produkcję roślinną w zupełnie nowych warunkach i to zarówno nowych pod względem wymiarów gospodarki, jak i nowych pod względem typu gleby w poszczególnych polach, nowych warunkach co do sposobu uprawy, organizacji pracy i wielu innych. Po prostu nadmiar nowości, który trzeba opanować stopniowo. Trzeba się wdrożyć w nowy tryb życia w nieznanych dotąd warunkach. Wszystko to powoduje ten stan, że najpierw zaczyna się od zagadnień podstawowych, a więc od produkcji roślinnej. Dopiero, gdy ta jest już w głównym schemacie zorganizowana, można myśleć o produkcji zwierzęcej, o hodowli.

W pierwszym okresie pracy spółdzielni produkcyjnych dość często występuje niezrozumienie przez członków znaczenia zespółowej hodowli, a co za tym idzie intensywnie rozwijanie hodowli na działkach przyzagrodowych z uszczerbkiem dla hodowli spółdzielczej.

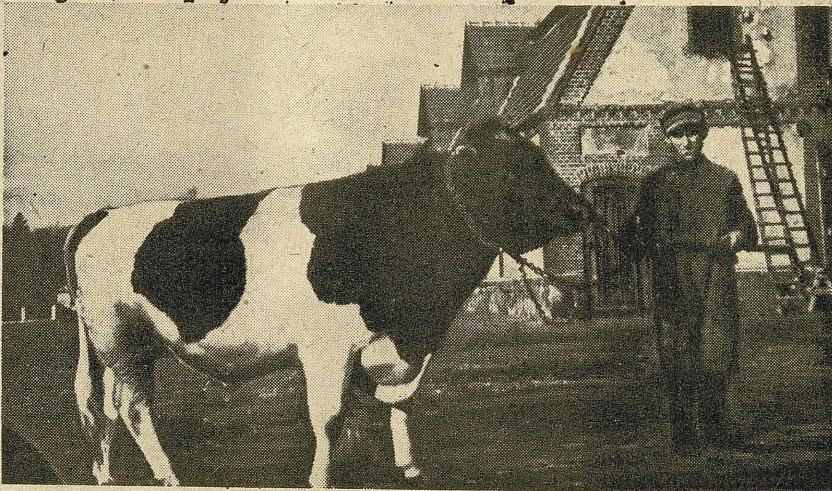
Kluczem tłumaczącym to zjawisko może być ciekawe zestawienie. Jeżeli ogólna ilość posiadanych przez spółdzielnie zwierząt podzielimy na dwie grupy: zwierzęta będące własnością spółdzielni i zwierzęta należące do członków, to zobaczymy, że na dzień 31.III. 1950 — 80 proc. wszystkich krów było własnością członków, na 31. XII. 1950 — 78,8 proc. wszystkich krów było własnością członków, na 31. VI. 1951 — 70,0 proc. wszystkich krów było własnością członków. Analogiczne stosunki przy świńskich według tych samych dat, przedstawiają się następująco: 88,6 proc., 90,0 proc., i 76,3 proc. Podobnie jest i z owcami.

Co mówią nam te cyfry? W sensie statystycznym dowodzą one kolosalnej przewagi hodowli na działkach przyzagrodowych w stosunku

do hodowli zespółowej. W sensie dynamicznym, dowodzą one pozytywnego już faktu, że w roku bieżącym przesunięcia w hodowli na korzyść gospodarki zespółowej zaczynają się dokonywać. A tego nie było zupełnie w roku ubiegłym.

Przenieśmy to zjawisko na szerszą platformę. Oznacza ono, że gospodarstwa zespółowe zaczynają się umacniać gospodarczo i organizacyjnie, że w roku 1951 zaczynają już poważnie myśleć o hodowli. Przełomowym na tym odcinku momentem była uchwała Biura Politycznego KC PZPR w sprawie rozwoju spółdzielczości produkcyjnej, podjęta w połowie grudnia ub. roku. Przedłożeniem tej uchwały, jej szczegółową odmianą, jest podjęta ostatnio przez Prezydium Rządu uchwała w sprawie rozwoju hodowli w spółdzielniach produkcyjnych.

Wiele spółdzielni zaczynało gospodarę albo w ogóle bez inwentarza żywego, albo też z trzema czy czterema krowami i to przeważnie chudymi, mało wydajnymi, o niejednorodnej rasie, o różnym przeznaczeniu produkcyjnym. Nie



było więc dotychczas dobrych podstaw do racjonalnej hodowli. Świadczy o tym najlepiej cyfra 2,3 krów na jedno gospodarstwo zespółowe wniesionych rzeczywiście przez członków do spółdzielni w roku 1950. Płynięcie stąd prosty wniosek. Te wkłady inwentarza ważne i nie do pogardzenia nie mogły jednak rozwiązać zagadnienia. Nie tylko z racji swojej szczupłości, ale także z racji swojej niejednolitości rasowej i produkcyjnej. Wyjsze więc tkwiło gdzieś indziej. Spółdzielnia musi zakupić odpowiednie sztuki, aby rozpocząć prawidłową, racjonalną hodowlę, dążąc do wychowania własnego stada podstawowego. Wszyscy dobrze wiemy, że pełny obrót w hodowli zwierząt to nie jest okres jednego roku, jak w produkcji roślinnej; jest to okres przynajmniej czterech lat przy bydłe, a półtoraroczny przy trzodzie chlewnej. A założenie racjonalnej hodowli, to posiadanie odpowiednio przystosowanych pomieszczeń, bazy paszowej, wykwalifikowanych kadr.

Należy więc spółdzielniom w skali ogólnokrajowej zapewnić jak najkorzystniejsze warunki rozwoju hodowli. Uwzględniając doświadczenia w dziedzinie hodowli takich spółdzielni jak: Nieczajna Kania, Psarskie, Marszowiec, czy Wilamowa, Prezydium Rządu powinno naciskać na następujące problemy zasadnicze:

1. Ustalenie minimalnego pogłowia zwierząt, do którego każda spółdzielnia produkcyjna powinna dążyć już w pierwszym roku gospodarki zespółowej. Oczywiście to minimum zależęć będzie od powiększenia spółdzielni i skalkulowane jest dla warunków najmniej korzystnych. Np. przy obszarze do 100 ha użytków rolnych zaleca się spółdzielniom, aby posiadały po pierwszym roku gospodarki zespółowej: 10 krów, 5 macior i 10 owiec. Przy obszarze od 100 do 200 ha: 18 krów, 9 macior, 18 owiec itd.

Określenie minimum, to przede wszystkim czynnik mobilizujący szerokie rzesze członków spółdzielni wokół zagadnienia hodowli.

2. Na pytania: skąd brać zwierzęta na hodowlę i skąd pokrywać wydatki na ich zakup? — uchwała Prezydium Rządu wskazuje na konieczność realizacji wkładów członkowskich, na otoczenie większą troską przychówku własnego, na celowość kontraktacji jałówek u członków spółdzielni lub też u mało i średniorolnych chłopów i wreszcie na zakup poza spółdzielnią. Środki własne na zakup będą uzupełniane sumami z kredytów państwowych udzielanych na niezwykle korzystnych warunkach.

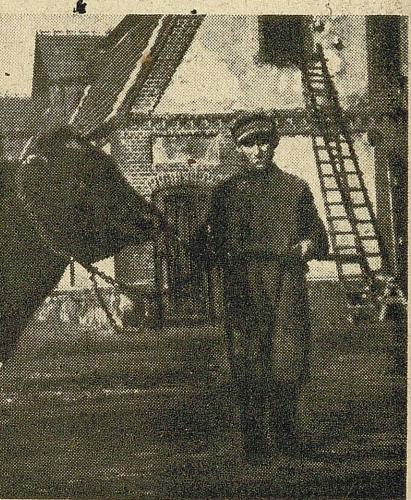
3. Uchwała Prezydium Rządu zwraca uwagę na konieczność energicznego zwalczania deficytu pasz przez odpowiednie płodozmiany, kiszonki, budowę silosów. Ale przede wszystkim przez szerokie stosowanie kiszonek, jako jednej z najtańszych a niewyzyskiwanych wciąż jeszcze możliwości posiadania wysokokalorowej paszy w zimie.

4. Żeby hodować trzeba nie tylko mieć zwierzęta nie tylko trzeba je żywić, ale należy im stworzyć odpowiednie warunki bytowe, a to już sprawa budownictwa. Dlatego też uchwała przynajmniej spółdzielniom dogodne kredyty na budowę pomieszczeń inwentarskich, zachę-

cając przy tym do wykorzystania przez spółdzielnie miejscowych materiałów budowlanych takich jak piasek, żwir, glina, kamień polny itp. oraz wykorzystania własnej roboty i niefachowej członków.

5. Kadry przecież decydują o wszystkim. Zapowiedziane szkolenie brygadierów, członków brygad hodowlanych, przyczyni się nie tylko do zwiększenia produktywności hodowli, ale pozwoli także na polepszenie pielęgnacji zwierząt, na stosowanie nowoczesnych metod skarmiania. Przyczyni się do tego, że nauka rzeczywiście będzie służyć życiu w najszerszej mierze.

6. Nie jest również rzeczą obłąkającą, jaką hodowlą zajmie się spółdzielnia produkcyjna. Daje się bowiem gdzieś indziej zauważyć zjawisko pewnej jednostronności. Np. spółdzielnia hodująca tylko krowy o wybitnie mlecznym nastawieniu. Fermy trzody chlewnej i fermy owiec występują jeszcze stosunkowo rzadko. Zjawisko z punktu widzenia rolniczego i ogólnopaństwowego wręcz szkodliwe. Przedewszystkiem jednostronność



hodowli daje dowód niewyzyskania naturalnych możliwości produkcyjnych danej spółdzielni, a poza tym, tak jak każda jednostronność prowadzi do wynaturzeń w rodzaju amerykańskich monokultur, gdzie jak się hoduje np. merynosy, to już nic więcej. Spółdzielnia musi zerwać z przeżytkami tych kapitalistycznych, koniunkturalnych pozostałości w rolnictwie. Wszelka jednostronność prowadzi do kalekta gospodarstwa. Monokultura to wynaturzenie rolnicze.

Dlatego też rozwój hodowli musi być wszechstronny. To znaczy, że gdy spółdzielnia posiada już fermę bydła, powinna założyć fermę trzody chlewnej, a gdy te dwie są już zorganizowane, powinno się pomyśleć o założeniu fermy owiec.

Nie można jednak zagadnienia sprowadzać do absurdu i tworzyć monstrum w przeciwnym kierunku, to jest zakładać różnorodne fermy hodowlane, zupełnie abstrahując od istniejących warunków, od możliwości produkcyjnych itd. Rzecz prosta, że tam, gdzie do hodowli owiec mamy warunki wybitnie niesprzyjające nie będziemy ich hodować. Ale rzadko kiedy tak się zdarza, żeby np. jakieśkolwiek gospodarstwo nie miało odpowiednich warunków do hodowli trzody chlewnej. Trzeba tylko zwrócić uwagę na jeden szczegół. Na typ hodowli. O ile do dziś dnia przeważa u nas w bydło hodowla mleczna, to porządane byłyby pewne przesunięcia w kierunku mięsnym, zwłaszcza zaś w spółdzielniach produkcyjnych. Tak samo jest z trzodą. Przewaga typu słonowego w całym kraju jest ogromna w stosunku do opasów o typie tłuszczeniowym. A więc reasumując. Hodowla musi być wszechstronna, muszą być wyszyskane wszystkie możliwości produkcyjne spółdzielni i należy dobrze zastanowić się nad tym, czy typ mięsny nie znalazłby zastosowania w danym gospodarstwie zespółowym.

To jeszcze nie wszystko. O ile spółdzielnia posiada tylko dostateczną ilość ludzi do pracy — to już jest spełniony pierwszy warunek do założenia zespółowej hodowli drobiu, której podstawowym czynnikiem jest masowość. Ta dziedziną również niedoceniana domaga się szybkiego rozwiązania.

Uchwała Prezydium Rządu ma olbrzymie znaczenie dla dalszego gospodarczego i politycznego umocnienia ruchu spółdzielczości produkcyjnej w Polsce.

Wróg klasowy zeruje bowiem na słabość gospodarczą spółdzielni i czyha na nią. Może ją wówczas nie tylko rozsadzić od wewnątrz, ale także może niedopuszczając do powstania nowych spółdzielni produkcyjnych w okolicy. Słabość gospodarczą przejawia się między innymi w niskiej dniówce obrachunkowej. Oto argument kulacki: jeżeli masz niską dniówkę obrachunkową, to znaczy, że w spółdzielni jest bieda, a jak bieda to lepiej już gospodarzyć indywidualnie, bo przecież po to się szło do spółdzielni, żeby było lepiej. — Niska dniówka obrachunkowa powoduje przede wszystkim właśnie brak rozwiniętej zespółowej hodowli. Wszędzie tam, gdzie hodowla jest rozwinięta notujemy wysoką wartość dniówki obrachunkowej.

Wojciech Szmidt

JAN BARANOWICZ

## LIST Z BUŁGARII

RUŚ.

W Ruse, nad Dunajem,  
wróble na elektrycznych drutach  
jak auty na pięciolini.

Poznaj  
swojski świat o trudzie powszednim  
rybaków i taragarzy, co wśród bierw i skrzyni  
czekają aż się rozedni.

W niepewnym świecie  
leniwe fale żółto się koftują,  
Prom już przechudzał  
i noc przeszła ponad Rumunią.  
Jeszcze tkwią w pamięci  
stromie wille Sinawia i podmiejskie chaty  
ciasnego Bucuresti.  
W czasce się kręci  
światły szlak wieńc naftowych jak kręgosłup bestii.

W porcie, w wagonie  
pierwsze twarze Bułgarów, wino i bakława.  
Borys Kolew — malarz i uczonec —  
cicho skanduje słowa: Kraków, Gdańsk, Warszawa.  
Josif Gałazka,  
wysmukły chłopak z Burgas chwali się pomnikiem  
wieszcza, lecz najwyraźniej  
wstyd mu, że się odpolszczył, choć matka ze Śląska.

Szeleszczą krople mastyki.  
Szeleszczą słowa przyjaźni.

Po rumuńskiej stronie  
brzeziny coraz płowiej tężeją w dnia blasku.  
Nad wód rozlewem  
fruną kawi i łopotach wrzasku.  
Kolejarze młotami dzwonią na peronie —

Brak jedynie dziewczyny o konopnych lokach,  
by przybiegła do ramion i u warg zawiśła  
a myślałabym, że drzewa i ptaki w obłokach  
— Mazowsze, a Dunaj — Wisła.



EDWARD POCHRON

# Amerykańscy pisarze — Saxton i Mende

(Dwa dokumenty walki amerykańskiego proletariatu)

Współczesna literatura Stanów Zjednoczonych zalewana przez powieść sensacyjną lub — dla „smakoszków” — przez psychoanalityczne „subtelności”, niezbyt obfitym w dzieła o wysokich walorach ideowych i artystycznych. Jednak wskutek stałego zaostrzania się sytuacji klasowej liczba pisarzy dostarczających istotne konflikty społeczne w współczesnej rzeczywistości USA zwiększa się z roku na rok. Dla pisarzy amerykańskich, którzy wybrali metodę realizmu charakterystyczne jest to, że idą oni dalej, wykraczając poza ramy realizmu krytycznego, dochodząc do zrozumienia zasad materializmu historycznego. Obserwacja stosunków w imperialistycznych Stanach Zjednoczonych uczy ich, że jedyną siłą mogącą obalić kapitalizm z jego „wolnością” — handlu i lynchu, jest klasa robotnicza kierowana przez swój czołowy oddział — partię komunistyczną i podlegające jej związki zawodowe.

Droga do tego stanowiska jest trudna. Pisarz nie może od razu przestawić swojego warsztatu pisarskiego na nowe tory, dlatego też w dziele jego będziemy mieli jeszcze do czynienia z błędami i potknięciami. Do takich błędów prawie, że typowych należą jeszcze pozostałości niedrobnego sensacyjności, w której niejednokrotnie pobrzmiewa jeszcze chęć „gry na nerwach” czytelnika. Do zjawisk tej kategorii należą pewne powieści Aleksandra Saxtona i Roberta Mende'a.

Wielki kryzys światowy w latach 1928 — 1934 nie ominął Stanów Zjednoczonych. Ta paradoksalna sytuacja, że podczas gdy masy ludowe głodowały, to w morzu tysięcy ton pszenicy spowodowała wznieście się fali rewolucyjnej. Proletariat amerykański zżycy po pierwszej wojnie światowej we względnie dobrobycie zrozumiał w latach trzydziestych, że bez walki nie poprawi swojej sytuacji. Stąd w tym okresie notujemy potężne strajki powszechne, kierowane przez partię komunistyczną i nowopowstałe, rewolucyjne partyzantki, związki zawodowe C. I. O. 2)

O tych wypadkach w różnych środowiskach — proletariatu fabrycznego i niefabrycznego — mówią: „Stacja Great Midland” (Saxtona) i „Bruk i gwiazdy” (Mende'go).

Aleksander Saxton jest równocześnie pisarzem i robotnikiem kolejowym. Praca literacka nie wystarcza w Stanach Zjednoczonych, aby zapewnić pisarzowi względne warunki życia. W takiej właśnie sytuacji znajduje się autor „Stacji Great Midland”. Stąd ta doskonała znajomość środowiska kolejowego, o życiu „kolejów” mówi jego powieść, która przyczyniła się również do tego, że Saxton nie gubi się w szeroko rozbudowanej akcji wielokierunkowej i wielowarstwowej. O wielości epickiego rozmachu Saxtona świadczy chociażby proste zarejestrowanie zasadniczych konfliktów ukazanych przez pisarza w ramach jednego zakładu pracy w okresie lat 1918 — 1942: konflikt między Towarzystwem Kolejowym a załogą stacji Great Midland; zjednoczenie „białych” i „czarnych” łóz związkowych w walce o polepszenie doli proletariatu; walka ugodowej góry związkowej z proletariackimi dółami, powstanie radykalnego początkowo, kierowanego przez komunistyczną Partię Ameryki C. I. O.; konflikt rodzinny Dave'a Spasa.

Bieg akcji powieści wyznacza zasadniczo konflikt: Towarzystwo Kolejowe — robotnicy stacji. Wokół niego zorganizowany jest materiał powieściowy. Pierwszą stronę reprezentuje Jarvis Pyszałek, nie członek Towarzystwa, ale jego płatny urzędnik — naczelnik stacji. Na usługach Towarzystwa pozostaje również cały aparat administracyjno-policyjny. Strajki i demonstracje rozpędza policja. Saxton, który doskonale zna środowisko robotnicze, wie, że jego struktura nie jest jednolita. W „Stacji Great Midland” spotykamy ludzi spośród klasy robotniczej, którzy występują przeciw swojej klasie, popierając poczynania posiadaczy. Np. znany na stacji „wuj” Jennison, który przed i w czasie pierwszej wojny światowej walczył o interesy klasy robotniczej, a teraz jako przewodniczący łóż związkowej obrót w sadio i jest nieczuły na głosy mas. Strajk dla niego jest bezcelowym wybrzydkiem młodych. Nie chce bronić towarzysza od zwolnienia z pracy, z tego tylko powodu, że ten jest komunistą i walczy z reakcyjną górą związkową. Historia Jennisona jest typowa dla tzw. arystokracji robotniczej. Wiemy z historii amerykańskiego ruchu robotniczego, że w 20-lecie międzywojennym władzę Amerykańskiej Federacji Pracy zdradziły klasy robotnicze i porzuciły na ugodę z burżuazją. Wierni biurokracjom tej organizacji pozostali jednak zwykli członkowie. Funkcje uświadomienia jasno robotnikom tej „metamorfozy” Jennisonów, Saxton — zgodnie zresztą z prawdą historyczną — powierzył komunistom i przedstawicielom CIO.

W „Stacji Great Midland” brak jest typowego reprezentanta kapitalizmu, np. jednego z członków Towarzystwa. Chociaż większość robotników zdaje sobie sprawę z tego, że Jarvis i Morgan-deketycy są wykonawcami poleceń właścicieli kolei, to jednak mogłoby się komuś wydawać, że głównym sprawcą niedoli robotników są właśnie tacy zaprzędańcy, a nie właściciele towarzystwa i monopoli. Tym bardziej mogłoby się tak zdawać, gdyby jasna wypowiedź autora w tej sprawie pojawiła się dopiero pod koniec powieści, kiedy jej główny bohater, komunistą Dave Spas mówi: „A kto jest właścicielem kolei? — Chyba jakiś sk...syński bank” — odpowiada rozmówca. „Ścisłe mówiąc: Western States Bank i Trust Company z Nowego Jorku. A więc z kim wal-

czyłeś walczyć z koleją Great Midland? Walczyłeś z Wall Street i amerykańskim kapitałem...” (str. 407). Wypowiedź niedwuznaczna. Jednak brak obrazu artystycznego typowego reprezentanta kapitalizmu obniża polityczną i głównie artystyczną walory książki.

Z zagadnieniem walki klasowej u Saxtona nierozdzielnie łączy się sprawa dyskryminacji rasowej. Stany Zjednoczone są krajem, gdzie lynch jest zjawiskiem powszechnym. Oczywiście, że nie wszyscy Amerykanie biorą udział w linczach. Do nich przede wszystkim należą robotnicy amerykańscy, bo klasa robotnicza rozumie, że interesy proletariatu tego czy innego kraju, tej czy innej rasy są wszędzie jedne — walka z kapitalizmem. Internacjonalizm proletariacki każe robotnikom amerykańskim wspólnie z Murzynami strajkować, demonstrować i walczyć w szeregu jednej partii, nie uznając dyskusji rasowej, ale walcząc z nią partii komunistycznej.

Zupełnie innego zdania o „czarnym bydle” są amerykańscy fabrykanci i ich slugusy. Przy pomocy rezerwow armii pracy złożonej z Murzynów chcą oni utrzymać niskie płace robotnicze. Dlatego też odcinają czarnym robotnikom możliwości awansu zawodowego, używając ich do najniższych posług i najgorszych prac. Ten stan rzeczy może się zmienić jedynie solidarna postawa białych i czarnych robotników — jak to właśnie dzieje się w „Stacji Great Midland”.

U Saxtona uderza nas żarliwość, z jaką ten jeden z najbardziej postępowych pisarzy amerykańskich walczy z dyskryminacją rasową, demaskuje obłudę burżuazji wyzyskującej Murzynów.

Saxton rozstrzygać tak ważne dla proletariatu, a w szczególności dla proletariatu amerykańskiego, sprawy nie pomija również bardzo ważnego zagadnienia, rozważania którego jest wskazaniem postępowości pisarza. Mam tu na myśli stosunek do Związku Radzieckiego. Akcja „Stacji Great Midland” kończy się w 1942 r. W 1941 r. Niemcy napadają na Związek Radziecki, który wtedy zmuszony został do wypowiedzenia wojny. Robotnicy amerykańscy nie rozumieją dlaczego zmienia się podówczas polityka partii komunistycznej, protestującej dotychczas przeciw wojnie imperialistycznej. Zmianę tę Dave Spas tłumaczy dwoma powodami: 1) Zmieniła się sama wojna („Anglia, Francja, Ameryka, cały świat kapitalistyczny od dwudziestu lat próbuje zmiażdżyć Związek Radziecki. Właśnie dlatego pozwili Hitlerowi zająć Hiszpanię, Austrię i Czechosłowację” (str. 407), 2) Związek Radziecki jest pierwszym państwem socjalistycznym, które zostało stworzone przez rewolucję robotniczą i dlatego można mieć do niego zaufanie. Tego państwa powinni bronić również i amerykańscy robotnicy. I Dave Spas w 1941 r. zaciąga się do marynarki wojennej.

Widzieliśmy z dotychczasowych uwag, że Saxton jest pisarzem dojrzałym artystycznie i ideologicznie. Jego powieść można by nazwać kroniką ludzi i wypadków związanych ze stacją Great Midland na przestrzeni przeszło 20 lat.

Głównym jego celem jest pokazać na szeroko dobranym materiale literackim, jak na przestrzeni lat między 1918 — 1941 wzrosła w walce z Towarzystwem Kolejowym polityczna świadomość kolejarzy. Poza ramy miejscowe autor prawie nie wykracza. Jednak bohaterowie jego walczą na swoim terenie pamiętając o milionach robotników, którzy tak samo walczą jak oni.

To zacieśnienie tematyki i miejscowe akcji do jednej stacji kolejowej pozwala Saxtonowi na tworzenie postaci żywych i pełnych, tak że czytelnik kończąc powieść może powiedzieć: rzeczywiście żyłem z tymi ludźmi przez 20 lat.

Chęć objęcia akcją jak największej ilości osób pociągnęła za sobą jednak brak wyraźnego końca akcji. Mamy tu do czynienia ze zjawiskiem podobnym do powieści-rzeki, z tą jedynie różnicą, że autor nie idzie krok w krok za życiem bohaterów, ale posługuje się metodą skierowywania „obiektywu filmowego” na pewne momenty w życiu postaci. Tytuły rozdziałów podkreślają tę metodę: „1912”, „1919”, „1940”, „1942”.

Tytuł: „Bruk i gwiazdy” bardzo dobrze określa charakter powieści Mende'go obrazujące życie Ameryki w latach trzydziestych. Jej bohaterowie spędzają młodość i część życia na bruku a marzą o gwiazdach. Główny bohater powieści Gregg Haber, syn emigranta niemieckiego, filozofii życia do 15 roku uczy się na ulicy wśród kolegów rówieśników i bokserów. Z okien jego mieszkania widać tylko bruk i gwiazdy. Pan Haber, krawiec z zawodu też bardzo często w czasie t. zw. martwych sezonów znajdował się na bruku, to znaczy nie miał pracy. A marzył też o gwiazdach. Niedosiężną gwiazdą dla niego jak i dla wielu jemu podobnych był własny zakład.

Po 15 roku życia horyzont Gregga poszerzył się. Został najpierw praktykantem, a później ekspedientem w sklepie p. Bicka (kapitały typ maleśku kupca amerykańskiego), którego ambicja jest, aby klient przychodzący do sklepu dostał szybko czegoś zażądać. A jak to zrobić Gregg dowiedział się bardzo szybko, gdy p. Bick dał mu krótkie pouczenie, że jeden numer pończoch będących na składzie, sprzedaje się jako każdy numer żądany przez klientkę. Wtedy gwiazdą Gregga było także marzenie o własnym sklepie, lub o karierze amanta filmowego w Hollywood.

Gdy Gregg miał 17 lat przewodniczący oddziału 1111 wciągnął go do CIO. Gregg zapisał się tam, bo teraz marzył już o tym jakby ulżył doli współlokatorów swojej kamienicy. Wnętrze nie chciał zabić właściciela domu, w którym mieszkał, a później kamienicę oddać do wspólnego użytku jej mieszkańcom. Ale odradzano mu na szczęście tę drogę, bo przecież właściciel kamienicy ma na pewno rodzinę, która po jego śmierci upomni się o spadek. Wtedy Gregg zaczął walczyć z właścicielami sklepów o podwyżkę płac i o uznanie CIO. Ale młody Haber nawet i wtedy jeszcze nie porzucił w zupełności swych marzeń z ulicy. Gdy się zaręczył z młodą Dynamitą, członkinią CIO — (było to po masakrze ich pochodu strajkujących przez gangsterów najętych przez właściciela wielkiego sklepu hurtowego) — tak pod koniec powieści mówi do niej: „Za małosmy przeżyli, za mało rozumiemy, żeby móc należeć do ludzi oeniści, kochać i widzieć w nich poezję i piękno. Będę się starał o to wszystko. Chcę żyć, żyć jak namiętnie, chcę się wszystkim nauczyć... Będziemy się uczyli o wszystkim: począwszy od kamieni w ulicznym bruku, aż do gwiazd na niebie” (str. 482).

To dość szczegółowe przedstawienie losu bohatera „Bruk i gwiazdy”, zakończone takim cytatem było potrzebne jako punkt oparcia w określeniu postawy ideowej Mende'go. Wydaje mi się, że autor zamykać dzieło losu Gregga wywodem o poezji i pięknie, sam z tym wywodem się zgadza. Poemata, o której mówił Gregg — to poezja szarych ludzi, poezja radości człowieka. Ta ostatnia wypowiedź bohatera ma szeroki podbudowę w powieści. Przy lekturze Mende'go uderza nas stała troska o wciąż oszukiwanego szarego człowieka. Komunista Joe Fesner za cel życia uznaje „zmienić świat tak, żeby ludzie sobie nawzajem ufali. Żeby nikomu nie było wolno oszukiwać innych”. Jednak jak zmienić ten świat Fesner nie mówi, o rewolucji... nie wspomina, chociaż rozumie dobrze kto jest sprawcą niedoli ekspedientów. Postawę więc Mende'go możemy określić jako postawę utopijnego humanizmu. To znaczy, że Mende widzi nędzę ludu, walczy z nią, ale nie podaje ostatecznego realnego rozwiązania. Bo rozwiązania proponowanego przez Gregga nie można wszak uznać za realne. Czytelnik z jednej strony ma zupełnie słuszne powody, aby wnioskować, że bohater obierze drogę walki, jakiej w czasie strajków uczył go Fesner, z drugiej strony autor pozostawia go w wątpliwości czy Gregg w czasie swych „nauczeń” natrafi na dzieła klasyków marksizmu-leninizmu.

Postawa Mende'go — to postawa głębokiego humanizmu, głębokiej troski o człowieka, postawa nie skonkretyzowana jeszcze w wyborze zdecydowania rewolucyjnej drogi urzeczywistnienia swych humanitarnych ideałów. Niedociekawa postawa autora „Bruk i gwiazdy” wyraża się też w wyborze środowiska. Ekspedient, krawiec, doręczyciel — element nie zawsze zdecydowany, balansujący między proletariatem a drobno-mieszczaństwem, a równie jak proletariatu fabryczny krzywdzony.

Widzieliśmy u Saxtona, stojącego na stanowisku rewolucyjnym, że jego bohaterowie wybierają ostatecznie drogę jedynie słuszną i realną dla wyzwolenia człowieka — rewolucję. Walka o podwyżkę płac, strajki, demonstracje odbywają się u Saxtona i Mende'go w tym samym okresie, a widzimy różnicę w stopniu dojrzałości bohaterów, która częściowo wynika z tego, że powieści rozgrywają się w różnych środowiskach, ale zasadniczo — z różnicą dojrzałości ideowej autorów.

Główna wartość powieści Mende'go leży w krytycznych partiach książki, w jej stronie demaskatorskiej, która może nawet przewyższa „Stację Great Midland”. O takiej ocenie decydują sylwetki doskonale zarysowanych typów ujemnych jak: właściciel małego sklepu na Rook Street — Bick, właściciel sklepu hurtowego Jones, szajka gangsterów z Lippiem Liptonem na czele. Gangsterzy współdziałają z policją w tłumieniu strajku u Jonesa. Pierwsi zaczynają bójkę ze strajkującymi ekspedientami, a kończą je druzdy. Lippie opłacywał przez Jonesa, jest przywódcą szajki gangsterów, a Lipton jest dyrektorem spółki „Pracownicy i Pracodawca — Spółka Zjednoczonych Mediatorów”. Lippie i Lipton to ta sama osoba. W tych partiach książki schemat sensacyjnej powieści podnosi wartość utworu, bo silnie oskarża i demaskuje, nie wykraczając poza ramy realizmu.

Krytyka nie ogranicza się jedynie do krytyki aparatu administracyjno-policyjnego Stanów Zjednoczonych. Mende odkrywa również zgłiznię kultury amerykańskiej. Ujemne oddziaływanie filmów Hollywoodu na młodzież, sensacyjna powieść i plaga niesportowego boks — skrzywiają dusze młodzieży.

Aby dokładnie określić jak daleko zaszli omawiani tu pisarze na tej drodze wykraczania poza ramy realizmu krytycznego, o której wspominałem na początku, należy rozpatrywać jeszcze zagadnienie pozytywnego bohatera.

U Saxtona, wydaje mi się, możemy mówić o pozytywnym bohaterze, w Engelsowskim rozumieniu typowości, u Mende'go mamy poważne wątpliwości i musimy stwierdzić, że są tam dopiero „zawłazi” pozytywnego bohatera. Bohaterem pozytywnym „Stacji Great Midland” niewątpliwie będzie Dave Spas. Jest to typowy przedstawiciel amerykańskiej klasy robotniczej. Komunista, walczący w Hiszpanii po stronie republiki, w czasie walk o podwyż-

kę płac staje na czele strajku, pod koniec powieści zaciąga się do marynarki wojennej, aby walczyć z faszyzmem, który popierany przez światowy kapitalizm zagraża Związkowi Radzieckiemu.

Konstrukcja losu Gregga Habera nie czyni z niego pozytywnego bohatera. Gdy są już wszelkie dane ku temu, aby Gregg stanął na czele ruchu CIO-wskiego w swoim środowisku autor nakazuje mu „uczyć się o wszystkim od kamienia w ulicznym bruku, aż do gwiazd na niebie”. I niewiadomo czy Gregg nauczy się rewolucyjnej walki z kapitalizmem, czy też będzie szukał poezji i piękna w uczuciach kobiety odnajdującej dziecko na Coney Island. U Mende'go możemy jedynie mówić o optymistycznej powieści. Jakkolwiek Joe Fesner ginie, czytelnik czuje, że autor wie, że znajduje się jego następca.

Sumując ostatecznie uwagi o dwu dobrych powieściach postępowej literatury amerykańskiej musimy wyrazić ocenę powieści Aleksandra Saxtona, którą możemy postawić na tym samym, a może nawet wyższym poziomie co „Clarksona” Fasta.

Mr. Truman pali dzieła Fasta, ale z ich popiołu wyrastają coraz to nowe, postępowe i rewolucyjne dzieła literatury amerykańskiej i miejmy nadzieję, że Mr. Truman z paleniem ich nie da sobie rady.

Edward Pochron

1) Tu należał: zmarły w 1946 Teodor Dreiser, Howard Fast, Albert Maltz i in.

2) CIO — Comité of Industrial Organizations (Związek Przemysłowych Organizacji) początkowo bardzo radykalny, później góra związkowa przechodzi na służbę burżuazji — zwłaszcza w czasie drugiej wojny światowej i po jej zakończeniu.

3) Aleksander Saxton: „Stacja Great Midland” tyt. oryg. „Great Midland”, powieść, przekład autoryz. Ewy Fiszer, PIW 1951 str. 469.

4) Robert Mende: „Bruk i gwiazdy” (tyt. oryg. „Spit and the Stars”), powieść, przekład autoryz. Małgorzaty Szerchy, PIW 1951 str. 483.

## NAUCZYCIEL Z ŁODZI

Urodziłem się dnia 23 lipca 1892 r. w wsi Ostrow, pow. Przeworsk, woj. rzeszowski, pochodzenie socjalne ojca: chłop bezrolny, matka: wyrobnica, oboje pracowali na łanach pobliskiego dworu i u bogatszych sąsiadów na utrzymanie 6-7 dzieci. Ukończenie szkoły średniej — seminarium nauczycielskiego zawiązałem z ojcem, który dwukrotnie wyjeżdżał na roboty do Niemiec, a później do Stanów Zjednoczonych A. P., gdzie przebywał przez 8 lat w charakterze robotnika fabrycznego.

Umilany przeze mnie zawód nauczycielski wybrałem sobie sam, czuję się nauczycielem z powołania. Przez 13 lat pracowałem w charakterze tymcz. kierownika szkoły w 4-ch podkarpackich wioskach w powiecie rzeszowskim — 30 km od Rzeszowa. Za wydajną pracę w szkołach oraz aktywność w pracy społecznej na terenie tamtejszych gromad i powiatu rzeszowskiego na odcinku kulturalno-społecznym zostałem na własną prośbę skierowany na studia do Warszawy, gdzie w r. 1924/25 ukończyłem Państwowy Instytut Pedagogiki Specjalnej z dyplomem nauczyciela szkół specjalnych.

Bytnar Jakub

## Pamiętnik nauczycielki

(dokończenie ze str. 2)

lamywaniami oporu z dobrym wynikiem chcę właśnie powiedzieć.

Młody trzydziesto-paraletni pracownik jęczymni wraz ze swoim kolegą, obaj nieprzejeżdżającymi opornymi, niechętni do nauki. Prezydent MRN kilkakrotnie wzywał ich do siebie, przewodniczący tłumaczył, prosił, perswadował. Czuję, że za chwilę uniesie się, wybuchnie złością i to popsuje całą naszą dotychczasową pracę. Podechodzę do niego z serdecznym, przyjaznym uśmiechem, rozmawiamy dość długo o różnych jego sprawach domowych i rodzinnych, zapytuję o zdrowie jego żony. Trochę się ożywia, lekko uśmiecha i raczy mi odpowiedzieć, w końcu naszej rozmowy wspomina o nauce i wtedy on wybuchł i w tym jego głównym wybuchu jest jakby pęknięcie wrzodu. Poznaję jego uraz psychiczny, jego powód wstępu do nauki. W młodych latach był ogromnie bity przez swego ojca za to, że nie chciał się uczyć, odrzucał z zdemorowaną reka odchylał rękaw brudnej koszuli i pokazywał ledwo widoczny znak małej blizny na reku: „Tak mnie ojciec bił, że mi nie chciało uczyć, a państwo tylko grzecznie mnie prosi i mówi, że to pomoże”. Patrzy na mnie i uśmiecha się z politowaniem, jego zaś uśmiech mówi: „Dat nie pomógł, a delikatna próbka ma pomóc”. Odchodzi. Staje bezradna. Ręce mi opadają. Dzwonię do Rady Zakładowej, idę kilkakrotnie do jego domu. Wszystko bez skutku.

Wychodząca w Zurychu „Weltwoche” zamieściła ostatnio wywiad z wrocławskiego dziennikarza z samym mr. Harry S. Trumanem. M. in. ze strony tegoż dziennikarza padło pod adresem prezydenta USA niedyskretne pytanie, jak w gruncie rzeczy wygląda w Stanach sprawa oświatowych samosądów tzw. lynchu. Prezydent dobitnie uspokoił swego rozmówcę:

„Niewinność człowieka zawsze przedzie czy później wyjdzie na jaw. Istotnie — niekiedy jest już za późno, zwłaszcza gdy człowiek przedtem zostanie powieszony”. Autentyczne. Dosłowne!

No proszę! I czegoż tu robić krzyk o sprawę lynchu. Przecież sam prezydent lynchowego mocarstwa niedwuznacznie stwierdza, że „niewinność człowieka przedzie czy później wyjdzie na jaw”. Więc o co chodzi?

Londoniśkie wydawnictwo „Freedom Press” dokłada również wszelkich wysiłków w kierunku zbliżenia brytyjskiemu społeczeństwu stylu amerykańskiej demokracji. Ostatnio nakładem tegoż wydawnictwa ukazała się książka pt. „A Handbook on Hanging”, co po polsku brzmi „Podręcznik wieszania”. W konsekwencji reklamowym tego „szkolniowego podręcznika” czytamy:

„...jest to krótkie wprowadzenie w najlepszą metodę wieszania... zawiera wiele pożytecznych wskazówek dotyczących łamania kręgosłupa, dławienia, duszenia, ścinania i egzekucji elektrycznych”. Po czym następuje wyjaśnienie, że „podręcznik” opracowany jest jak najściślej źródłowo — w oparciu o doświadczenia największych światowych egzekucji, przy czym opracowaniu temu nadano tak subtelna formę, że „All very proper to be read and kept in every Family” — tj. że „możę być czytany w każdej rodzinie”.

Żeby nie było nieporozumień: Nie jest to żadna literatura średniowieczna. Rok wydania tegoż dzieła: 1951! Pogratulować rządowi Jego Królewskiej Mości. I pogratulować mr. Trumanowi ugruntowania

Wyżej wymienione studia umożliwiły mi uzyskanie stanowiska nauczyciela i kierownika szkoły specjalnej dla dzieci upośledzonych umysłowo w Łodzi, w której przebywałem od I.X. 1925 roku. W chwili obecnej zatrudniony jestem w charakterze kier. szkoły specjalnej Nr 60 przy Sanatorium w Łagiewnikach dla dzieci przewlekłych chorujących (gruźliczych). W roku ubiegłym tamże zorganizowałem i dotąd prowadzę 19-tą szkołę podst. dla pracujących, jedną na odległych peryferiach naszego miasta.

Wyczerpująca praca całodzienna w lesie Łagiewnickim, częsty powrót pieszy w godzinach wieczornych (około 5 km) do miasta, dotąd nie przeszkadzały mi jeszcze w wykonywaniu dodatkowych obowiązków nauczyciela-obywatela na terenie naszego miasta. W roku szkolnym 1949/50 wzięłem aktywny udział w charakterze nauczyciela i kierownika w organizowaniu i prowadzeniu kursów dla analfabetów i półanalfabetów na terenie peryferyjnym miasta i w samym mieście. W ciągu 10 miesięcy przeszkoliłem osobście na 3-ch kursach początkowego nauczania ponad 60 osób.

Bytnar Jakub

I gdy zupełnie zwątpiałam w możliwość przełamania jego oporu, gdy wyczerpałem wszystkie swe argumenty i prośby, któregoś dnia zupełnie niespodzianie przyszedł na kurs wraz ze swoim kolegą. Nie okazał mi zupełnie żadnego zdziwienia, z góry jednak zaznaczył, że uczyć się nie będzie, tylko tak przyszedł sobie „popatrzeć”. Zgadzałem się na wszystko i cieszę się z pierwszego odniesionego zwycięstwa.

Na moje prośby zaczyna się uczyć, początkowo niechętnie, ale z biegiem czasu okazuje pewne zainteresowanie nauką. Stale czuwam nad nim i otaczam go specjalną opieką. Zdał z wynikiem dobrym, dalej jednak nie chciał się uczyć.

Inny ciekawy typ oportunisty: pracownik Centrali Węglowej, starszy mężczyzna, o ponurym, niemiłym wyrażeniu. Przez pewien czas zupełnie się nam nie kłaniał, nie wchodził do klasy, tylko siedział przez pewien czas na schodach. Na moje zaproszenia odpowiadał mruklawie i niechętnie, kategorycznie zapowiadał, że uczyć się nie będzie, według jego mniemania jest to zupełnie zbędne na jego starsze lata. Proszę go, perswadowuję, wszystko nadaremno, pogardliwie macha ręką i odchodzi. Zaprawiona w zwalczaniu podobnych przypadków nie zrażałem się tym zupełnie, prowadzę z nim długie rozmowy. Powoli oswaja się, po paru dniach wchodzi do klasy i rozmawiany przez nas wszystkich zaczyna się uczyć. Po paru miesiącach nauki zdał egzamin z wynikiem dostatecznym.

się „wpływów kulturalnych”. Stanów Zjednoczonych na Wyspie Brytyjskiej.

Publicyści niemieccy w związku z tą sprawą przypominają, że świat zna już tego rodzaju wydawnictwa. Podobne tematy lansował nie tak dawno oślawiony hitlerowski „Der Stürmer” Streichera. Dla niektórych widać to już bardzo dawno, że nie pamiętają, czym się to skończyło...

Lektura o której była mowa wyżej daje nawet konkretne rezultaty. Gazety brytyjskie doniosły niedawno, że w Nowej Zelandii, która jest jak wiadomo kolonią Imperium Brytyjskiego, o zwolnienie stanowisko katedry stała się pewna brytyjska studentka medycyny. Charakterystyczna jest treść podania tejże przedstawicielki „pici pięknej i słabej”:

„Jestem studentką medycyny, mam mocne nerwy i jestem zdania, że mężczyźni chętnie dają się tracić kobieciarstwu”.

Publicyści niemieccy słusznie zauważają, że i tego rodzaju wypadki są już znane... Cytując przykład Ilse Koch, żony hitlerowskiego komendanta Buchenwaldu...

A oto interesujące sprawozdanie z Korei, zamieszczone w luksusowym magazynie amerykańskim „New Yorker”:

„Narody, zjednoczone taktycznie zapropomowały rządowi północno-koreańskiemu przeprowadzenie pewnych reform. Projekty te zostały przyjęte. Kiedy np. w grudniu 1950 r. południowo-koreańska armia i policja zbyt szeroko i zbyt widocznie przeprowadzała masowe, publiczne egzekucje koreańskich — Komisja Narodów Zjednoczonych zdołała spowodować u rządu południowo-koreańskiego pewną zmianę jego postępowania dyscyplinarnego: od tego czasu mamy, dzięki Bogu, do czynienia tylko z nielicznymi wypadkami widocznymi egzekucji... Podkreślenie oczywiście nasze. I starczy za komentarz...”

W obrzymiej sali Ernst-Merck-Halle w Hamburgu odbyła się w końcu września konferencja tzw. „Jedności Europejskiej”, w której między innymi wziął udział mr. Duncan-Sandy, zięc obecnego premiera W. Brytanii — Churchilla.

Mr. Duncan-Sandy powiedział dosłownie przedstawicielom „bolszewickiej orientacji”:

„Jeśli chcecie, żeby Niemcy byli bronione nad Łabą, a nie nad Renem i to natychmiast oraz bez zastrzeżeń — to musicie całkowicie przejąć waszą rolę. Byłoby najzupełniej bezcelowe przyjąć, że w wypadku wojny Niemcy pozostaną niekierowane. Na skutek swego położenia geograficznego Niemcy muszą stać się polem bitwy... Jeśli się nie walczyło... to będzie to oznaczało, że stanie się jednym z głównych celów zachodnio-alianckich bombardowań. Zaś szczególnie hamburskiej ludności nie trzeba wyjaśniać co to znaczy” (aluzja do nalołów terrorystycznych z r. 1943 — przyp. mój — S. J.).

Tak wygładza „pokojowe cele” twórców i uczestników Paktu Atlantycznego. Tak wygląda sprawa „konieczności podjęcia kroków obronnych”, tak wygląda „groźba agresji ze strony N. R. D.”, w odniesieniu do Trizonii...

W tym samym czasie, kiedy Duncan - Sandy wygłaszał cytowane wyżej słowa w Hamburgu — w Europie krążyły noty USA i W. Brytanii, wyjaśniające „niezłomną wolę pokoju” zachodnich aliantów i „obronny charakter” Paktu Północnego Atlantyku... noty pełne wyrazów oburzenia, że „komunistki” wątpią w te zachodnio-alianckie „dobre intencje”...

Oni to nazywają „genialną grą polityczną”. Nam się wydaje, że może to być nazwane tylko wyuzdanym gangsterstwem i popełnianą z całą premedytacją nową zbrodnią przeciwko ludzkości...

Znamiennym faktem, który stanowi wyraźną odpowiedź na powyższe skandale, są ostatnie wypadki w Essen. Wbrew najstraszniejszemu terrorowi w tamtejszych Zakładach Kruppa przeprowadzone zostało głosowanie za i przeciw remilitaryzacji Niemiec. Na 12.309 robotników tych zakładów — 11.921 głosowało przeciwko remilitaryzacji i manifestowało przeciw dyrektorowi koncernu, skazanym w swoim czasie przez Trybunał Norymberski, a obecnie z woli amerykańskich protektorów skierowanym na poprzednie stanowiska dla przygotowywania nowej rzezi. Jedynie 212 robotników poszło na lep propagandy i głosowało za remilitaryzacją, 52 robotników i pracowników umysłowych wstrzymało się od głosowania. Adenauerowska policja usiłowała dokonąć aresztowań na terenie zakładów — spotkała się jednakże z czynnym oporem wieloletniej służby. Na zewnątrz zakładów przeprowadzono dopiero aresztowanie 50 osób. Ale i to zmuszono policję do kapitulacji. Pracownicy Kruppa utworzyli kilkunastotysięczny pochód, grożąc marszem na siedzibę prezydenta policji. Policja wycofała się, będąc bezradna wobec tak jednomyślnie wyrażonej opinii mas o tym wszystkim co pod zachodnio-aliancką batutą usiłują tworzyć marionetki z Bonn.

Oto godna odpowiedź na skandaliczne wybrki obozu wojny i zbrodni

S. Jaskiewicz



PIOTR CHMURA

## Komunikaty i apele

## Krakowiaczy i górale

Nie bez przyczyny pierwszy pełniejszy głos na jali skupu zboża dopłynął do naszej redakcji od korespondenta z krakowskiego, z Podhala. Mam na myśli List F. Skupień — Florka, zamieszczony w ub. numerze również na tej kolumnie.

Województwo krakowskie już w pierwszych punktach w połowie października wysunęło się na przednie pozycje. Na przestrzeni ostatnich 3 tygodni nie było dnia aby gazety nie odnotowywały jednego, dwóch a nieraz kilku powiatów krakowskich. Sztty one lawinowo naprzód.

Z korespondentów „Krakowiaczy i Górali” pierwszy za pióro chwycił góral w przedzie dnia pełnego zwycięstwa powiatu nowotarskiego. 100 proc. wszystkich zobowiązań wobec państwa górale już wypełnili: Nowy Sącz, Żywiec, Limanowa, Nowy Targ!

Ej, Kubińcu, Młocie, Mirku i wielu innych — a wasze listy? Nie powinno ich zabraknąć. Sympia się krzyży na piersi górali. Kiedyś niedza spędzała ich z gór na nędzę w doliny. Miraż pracy w miastach i fabrykach konczył się powiększeniem bezrobotnych rezerwy proletariatu. W nowej Polsce górale powiększyli kadry osadników na wolnej i szerokiej ziemi, polepszyli swoje położenie rolnicze w górach, mrowią się w dolinach wokół nowych budowl wielkiego i średniego przemysłu. Dzieci pchają do szkół, a góral to gawędziarz i filozof, lubi myśleć i ceni myśl. Nie przypominacie obudnie ile to u niego obyczajów, tradycji i ciemnoty, bo dobrze wiecie, że nie mniej gwałtownego pędu do zmian na lepsze, nie mniej bodźców na rewolucyjne przeobrażenia. Górale zobaczyli swych dzieci w szkołach, zobaczyli przemysł u stóp Karpat i otworzyli serce. Właśnie o tym sercu pisał Skupień — Flork. Jak żywo bije ono miłością do klasy robotniczej, jak dumne jest, że może się wypłacić w sojuszu robotniczo-chłopskim!

Skupień — Flork pokazał nam w obrazie 50 i 51 r., jak górale biją się o produkcję, o ich hodowlaną produkcję. Akcja skup pokazała nam jak głęboko patriotyczny jest sens i cel tych bojów, jak głęboko obywatelska duma ze zwycięstw produkcyjnych i jak prawdziwie ludowładcy gniew na niedbalstwo i szkodnictwo, obniżające inicjatywę, zapal i możliwości produkcyjne ludzi Podhala.

Nie kreślę sielankowego szkicu. Bynajmniej. Sprawa pisarzy jest u karczki pełnej obrazu. Ale, ileby nie wydobyli bogactwa szczegółów — pełnia obrazu pogłębi tylko kontur, jaki my, publicyści — działacze już widzimy.

Z jednej strony wymowa osiągniętych faktów. „Przodujące górskie powiaty. Z drugiej — wróg. Nie spał, uderzył. Na cóż on liczył? Właśnie na tradycje, obyczaje, ciemnotę. Podobno jeszcze w dziesięć lat po pierwszej wojnie światowej jakiś góral podkładał list do cesarza Franciszka Józefa. Z tej bezki wróg i teraz próbował.

Poszła plotka, że 20 października wojna, że Amerykanie już wchodzą do Czechosławii, itd. patrząc, jak z przelęty dukietości, inn patrząc, jak z podziwem.

W r. 1950 prace wiosenne na opolszczyźnie przeprowadzono maszynowo w 85 proc., a ilość nawozów sztucznych dwukrotnie przewyższyła wskaźnik z r. 1948. Dziś gęsta sieć POM-ów i SOM-ów rozporządza tysiącami snopowozów, kosarek i traktorów. Opolskie stanęło mocno na kontrakcyjnych przemysłowych roślin i hodowl. Plan 6-letni otworzył tej krainie nową perspektywę. Nowe linie kolejowe, fabryki włókiennicze, roszarnie lnu i wiele innych ośrodków przemysłowych.

Opisywał we „Wsi” nasz korespondent Góralik-Bożanowski uczucia chłopów opolskich, kiedy szeroko rozniósł się wieści o tem, co przyniesie ich województwu Plan 6-letni. Radość i zadowolenie osadników z uprzedmiotowienia opolszczyzny wyrażają nową „gospodarność chłopską”. Zaczęli wskazywać gospodarzyć na nowej ziemi, w nowych gromadach, w warunkach na początku pionierskich. Ale zaczęli to nowe życie w Polsce wyzwolonej, na drodze zwycięskiej rewolucji. I dlatego osadzając się coraz mocniej na ziemi opolskiej i coraz głębiej stając się jej krajaniami po nowemu też ją w marzeniach i rozumowaniach zagospodarowywali: rolnictwem i przemysłem; chłopami i robotnikami. Wyobraźnia socjalistycznego narodu.

Wróćmy do działacza — mojego rozmówcy. Jak nie odznaczać chłopów — prawic — kiedy popatrzyć kolego na wyciąg z jednego koła ZSL-u na gromadzie Pełpice (gm. Przylesie pow. Brzeg) jednakość członków, wszyscy skup zboża i kartofli wypełnili kilkakrotnie ponad plan. A wyciągacie się w produkcji pozycje np. w skupie zboża:

Miedzybrodzki (przew. GRN) plan — 1071 kg, sprzedał — 4480 kg; Romanice, plan 145 kg dat 1014 kg; Janyski, plan 557 kg dat 1756 kg; Kochanicki, plan 857 kg dat 2153 kg; Łagodziński, plan 646 kg dat 2256 kg.

W opolskim jest Góralik-Bożanowski, jest Worceli. W opolskim chłopci dostali Krzyże Zasługi, a nasza redakcja od miejscowych korespondentów jeszcze nie otrzymała listów. A tego od was ma prawo żądać opolszczyzna. Od innych pisarzy inne ziemie, od wszystkich cały kraj.

W powiecie tarnowskim kulak występuje beczelnie. „Ty jeszcze przyjdiesz do mnie gnój rozmia-

tać” — mówi do soltysa, PZPR-owca, w gromadzie Jastrzębie. W powiecie tarnowskim odbywają się misje, księża zarządzają zsypano zboża dla kleryków. W pow. Bochnia ukazał się „list pasterski”, nawołujący do „modlitwy w celu odwrócenia kary Bożej (?)”. Probostwa: Niepołomice, Sobolew, Łapanów, Rzeszawa nie wypelnili obowiązków.

Ale przejrzyjcie komunikaty. 26 października — Żywiec i Nowy Sącz na pierwszym miejscu. 28 października — Limanowa — 73 proc. — 31 października powyżej 65 proc. Oświęcim, Brzesko i... Bochnia (69 proc.) i Tarnów (73 proc.). Jeszcze o przelotem toczy się walka w olkuskim i miechowskim. Na pisa-rza — agitatora czeka krakowski województwo. I w tych powiatach, gdzie droga zwycięstwa służą może przykładem na wielu jeszcze terenach kraju — i w tych powiatach, gdzie średniak, odrzucając się wolniej od kulackiej agitacji nabiera dopiero rozpędu. Wzmoc ten rozpęd i piórem również zdobywać średniaka, jak zdobywają go narady i przykłady.

## Opolszczyzna

Dzisiaj w gazetach znów czytalem o nowych odnaczeniach. Prezydent odznaczył Krzyżami Zasługi 44 chłopów opolskich. Województwo opolskie... aha, o trzech powiatach, wolnych już od miarek, mrowią się w dolinach wokół nowych budowl wielkiego i średniego przemysłu. Dzieci pchają do szkół, a góral to gawędziarz i filozof, lubi myśleć i ceni myśl. Nie przypominacie obudnie ile to u niego obyczajów, tradycji i ciemnoty, bo dobrze wiecie, że nie mniej gwałtownego pędu do zmian na lepsze, nie mniej bodźców na rewolucyjne przeobrażenia. Górale zobaczyli swych dzieci w szkołach, zobaczyli przemysł u stóp Karpat i otworzyli serce. Właśnie o tym sercu pisał Skupień — Flork. Jak żywo bije ono miłością do klasy robotniczej, jak dumne jest, że może się wypłacić w sojuszu robotniczo-chłopskim!

Skupień — Flork pokazał nam w obrazie 50 i 51 r., jak górale biją się o produkcję, o ich hodowlaną produkcję. Akcja skup pokazała nam jak głęboko patriotyczny jest sens i cel tych bojów, jak głęboko obywatelska duma ze zwycięstw produkcyjnych i jak prawdziwie ludowładcy gniew na niedbalstwo i szkodnictwo, obniżające inicjatywę, zapal i możliwości produkcyjne ludzi Podhala.

Nie kreślę sielankowego szkicu. Bynajmniej. Sprawa pisarzy jest u karczki pełnej obrazu. Ale, ileby nie wydobyli bogactwa szczegółów — pełnia obrazu pogłębi tylko kontur, jaki my, publicyści — działacze już widzimy.

Z jednej strony wymowa osiągniętych faktów. „Przodujące górskie powiaty. Z drugiej — wróg. Nie spał, uderzył. Na cóż on liczył? Właśnie na tradycje, obyczaje, ciemnotę. Podobno jeszcze w dziesięć lat po pierwszej wojnie światowej jakiś góral podkładał list do cesarza Franciszka Józefa. Z tej bezki wróg i teraz próbował.

Poszła plotka, że 20 października wojna, że Amerykanie już wchodzą do Czechosławii, itd. patrząc, jak z przelęty dukietości, inn patrząc, jak z podziwem.

W r. 1950 prace wiosenne na opolszczyźnie przeprowadzono maszynowo w 85 proc., a ilość nawozów sztucznych dwukrotnie przewyższyła wskaźnik z r. 1948. Dziś gęsta sieć POM-ów i SOM-ów rozporządza tysiącami snopowozów, kosarek i traktorów. Opolskie stanęło mocno na kontrakcyjnych przemysłowych roślin i hodowl. Plan 6-letni otworzył tej krainie nową perspektywę. Nowe linie kolejowe, fabryki włókiennicze, roszarnie lnu i wiele innych ośrodków przemysłowych.

Opisywał we „Wsi” nasz korespondent Góralik-Bożanowski uczucia chłopów opolskich, kiedy szeroko rozniósł się wieści o tem, co przyniesie ich województwu Plan 6-letni. Radość i zadowolenie osadników z uprzedmiotowienia opolszczyzny wyrażają nową „gospodarność chłopską”. Zaczęli wskazywać gospodarzyć na nowej ziemi, w nowych gromadach, w warunkach na początku pionierskich. Ale zaczęli to nowe życie w Polsce wyzwolonej, na drodze zwycięskiej rewolucji. I dlatego osadzając się coraz mocniej na ziemi opolskiej i coraz głębiej stając się jej krajaniami po nowemu też ją w marzeniach i rozumowaniach zagospodarowywali: rolnictwem i przemysłem; chłopami i robotnikami. Wyobraźnia socjalistycznego narodu.

Wróćmy do działacza — mojego rozmówcy. Jak nie odznaczać chłopów — prawic — kiedy popatrzyć kolego na wyciąg z jednego koła ZSL-u na gromadzie Pełpice (gm. Przylesie pow. Brzeg) jednakość członków, wszyscy skup zboża i kartofli wypełnili kilkakrotnie ponad plan. A wyciągacie się w produkcji pozycje np. w skupie zboża:

Miedzybrodzki (przew. GRN) plan — 1071 kg, sprzedał — 4480 kg; Romanice, plan 145 kg dat 1014 kg; Janyski, plan 557 kg dat 1756 kg; Kochanicki, plan 857 kg dat 2153 kg; Łagodziński, plan 646 kg dat 2256 kg.

W opolskim jest Góralik-Bożanowski, jest Worceli. W opolskim chłopci dostali Krzyże Zasługi, a nasza redakcja od miejscowych korespondentów jeszcze nie otrzymała listów. A tego od was ma prawo żądać opolszczyzna. Od innych pisarzy inne ziemie, od wszystkich cały kraj.

W powiecie tarnowskim kulak występuje beczelnie. „Ty jeszcze przyjdiesz do mnie gnój rozmia-

## Gazetka gminna

## Jacy tacy...

Ma chłop pieniądze czy nie ma? Mogą być swinie na kontrakcję, czy nie? Generalnie Wam nie odpowiem, ale za pomocą dwóch przykładów.

Jest powiat Płoński. Gdzie? W województwie warszawskim. W ciągu trzech miesięcy (sierpień, wrzesień, październik) GS-y tego powiatu zakupiły od chłopów pólów rolnych za 13 milionów zł. A sprzedają towarów przemysłowych za 12 mil. (w remanencie zostało jeszcze na 4,5 miliona). Cóż to znaczy? Że całą sumę pieniędzy, uzyskanych ze skupu chłopów wydali na swoje osobiste i domowe potrzeby. To jeszcze nie koniec. Okazuje się, że w GS-ach chłopcy wydali dopiero jedną trzecią pieniędzy. Pełna ich konsumpcja była w tym okresie o dwie trzecie większa i sięgała do Płońska i Warszawy. Co tu dużo gadać, samej wódki wypili chłopcy za większą sumę od tej, jaka przypada na podatek gruntowy dla całego powiatu płońskiego.

W woj. opolskim prezesem gm. ZSCH jest Gertruda Cichas. Wcale nie cicha. Głośno zastrzegła sobie w GRN-ie prawo nie wydawania zezwoleń na ubój bez jej zgody. Dlaczego? Bo zna baba na wylot stan hodowli i zapotrzebowania na mięso w swojej gminie. Zaprowadziła ewidencję zezwoleń i co powiecie, tak ograniczyła ubój na spekulację, że gmina ta jako pierwsza i jedyna dotąd wykonała pełny plan kontrakcyjny na I kwartał roku 1952 (w 120 proc.).

Od takich przykładów powinien zmartwić każdy działacz.

Grzegorz Maluta

## „Żywoć człowieka pocziwego“

Ja z takim pomysłem. Kiedy mamy podnosić produkcję rolną przez zwiększenie jej wydajności wartości w naszej Gazecie pokazać cykl, ilustrujący zagospodarowanie parceli chłopskich różnej wielkości. Przekonałbym się w wówczas, co z ziemi (gospodarstwa) można wyciągnąć a czego się często nie osiąga. Myślę, że dyskusja w tej kwestii byłaby płodna i celowa.

Na początek sam dam przykład. Gospodarstwo 12 ha w pow. Wąbrzeźni. Właścicielem — jego jest Fr. Korga — wiceprezident PKW. ZSL.

Jak wygląda jego gospodarstwo?

Z 2 ha — pszenicy ozimej 71,5 q  
Z 1 ha — pszenicy jarej 26 q  
Z 1 ha — żyta 28 q  
Z 1 ha — jęczmienia 27 q  
Z 1 ha — ziemniaków 110 q

(220 q w ub. r.)

Z 1,5 ha — buraków cukr. 450 q  
Z 0,5 ha — lnu 10,3 q

(słomy Inianey)

Z 15 ar. — rzepaku 2,7 q  
po zżęciu rzepaku wysiał 8 q  
Z 25 ar. lucerny — 4 pokosy.

Z 60 ar. koniowin — 2 pokosy po 4 wozy (12 q jeden), 3 krowy (2500 litr. od każdej), 2 jałowki, 2 maciorcy (7 i 9 prosiąt), 7 sztuk zakontrakowanych na r. 1952. Na skup sprzedał 73 q zboża i 54 q ziemniaków. Liście buraczane zakopcowane i wysłoki z cukrowni wystarczą do wyżywienia inwentarza do czasu wiosennych traw.

Jan Palata

Wybory do władz ZSCH

Ot, popatrzcie. W gm. Bąków (pow. Łowicz) chłop w trosce o wiosenne siewy domagał się, aby zahamować w młynach przemiał ziób jarych. Skąd ta fala mielenia i to nawet jarych? Z plotek straszających przepowiednią o trzyletniej posusze. A cel takiej roboty? Poślanie dezorganizacji i zamętu. Bo właśnie gospodarzki rozsądek i zaobiegłość kazałyby tym troskliwiej zabezpieczyć jare na wiosnę. Słusznie więc chłopcy wystąpili przeciw bezmyślnemu gorliwości panów młynarzy i kierowników społecznych młynów. Człowieka też by zmieili, gdyby się taki znalazł. Wspominał o tej sprawie dlatego, że wskazuje ona, jak bardzo wszyscy chłopcy i aktywistki są pochłonięci akcją skupu zboża, kartofli, kontrakcji i spłat podatkowych. Wszystko cokolwiek do tej akcji należy co ją hamuje, co jej pomaga dostaje się w wielki młyn wmożonej aktywizacji: mas i działaczy, ale co znajduje się poza nią...

Oto w tej samej gminie Bąków na zebraniu w sprawie kampanii wyborczej do władz ZSCH sekretarz gminy ZSCH nie bardzo wiedział o czym mówić, podobnie delegat z Łowicza, sekretarz powiatowy. Chłopi rozeszli się z niczym. Moi drodzy! Trzeba z tego przykładu wziąć dwie nauki. Pierwsza aby wybory do ZSCH nie stały się dla wrogich elementów nowym mynionem dla przemiatu ich wpływów. Druga — nie można i nie należy oddzielać w naszej jesiennej akcji wypełnienia naszych obowiązków wobec państwa od naszej twórczej rządności gospodarczej, jaką państwo otwiera coraz szerzej przed nami w spółdzielczości.

Proponuję hasło: produkuj w skupie niech nam przodują w życiu naszej „społeczności spółdzielczej“.

Józef Warecki

## Anatomiczna budowa kulaka

Oj, chytry ten kulak Kępski! Ten ci dopiero naraził naszą Leśmierską gminę na tegie żarty ze strony robotników. Idę ja do cukrowni w sprawie wspólnej akademii z robotnikami ku czi Wielkiej Rewolucji Październikowej. Zaczepia mnie dwóch przodowników pracy i dawaj sobie podkładać: —

— Słuchajcie Zuska, wasza gmina do końca sześciolatki nawet miesięcznego planu dostaw zboża i ziemniaków nie wykona.

— Myślał żeby cukier był, już my se rade damy, „balonowymi“ woza-



mi odstawimy co trzeba — odpowiadał trochę zły.

— „Balonowymi“ wozami, cichcem — tożż ziemniaki do miasta kulacy. Kępski zarobił wczoraj 2000 złotych. A wiecie Zuska dlaczego?

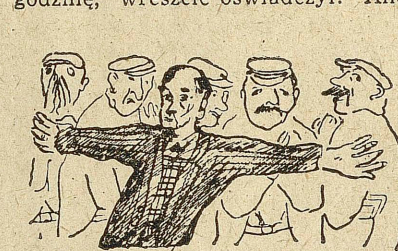
## Organizacja i incjatywa

Ja, proszę Redakcji chciałbym dziś napisać o organizacji i incjatywie. A to dlatego, że mi się organizacja pracy na stacji w Łęczycy zupełnie nie podoba. O incjatywie będzie później. Na tej stacji nasze PZGS skupują od chłopów kartofle. Aż zgroza bierze patrzeć jak to się odbywa. Ludzi i wozów tłok, każdy chce szybko sprzedać, ale od czenia do sprzedania w naszych PZGS bardzo daleko. Ludzi do odbierania ziemniaków tylko dwóch. Kartofle zrzucą się na ziemię, nie podestawiają nawet, konie je gniją, ludzie kaleczą butami. I taki produkt ma pójść do miast. Kupi robotnik i powie, że Piskulina ujmuje się w sprawie za światem pracy, a jest chytra baba, sprzedaje nadpsute kartofle.

Polecałam do PRN, żeby ludzi do odbierania kartofli najeli, bo inaczej spora część naszej chłopskiej pracy zmarnuje się. Powiadają, że nie ma na rynku sily robotczej. Co za rynek pracy i jak to nie ma kulacy? Taki Pakulski — kulak to sobie 5-cioro

## Rozgardiasz u Gordiasa

Jak wygląda sprawa świadczeń pieniężnych na terenie gminy? — to pytanie nie zaskoczyło, wcale pana Franciszka Gordiasa, referenta podatkowego w Roznowie (pow. Nowogard). Stary, biurokratyczny mól dał nurka w papier, szperal w nich z godzinę, wreszcie oświadczył: Ano



nie za bardzo dobrze. Podatek gruntowy spłacony w 82,4%, FOR tylko w 31,4%.

A kiedy pytam dalej — dlaczego tak jest źle — nie peszy się, lecz używa argumentów mających mu zapewnić święty spokój. — Dużo w terenie biedoty, nie mają czym płacić. My nie aparat ucisku biedoty.

A którzy chłopcy zalegają? — pytam. Gdyby wrzok zabijał, jużbyś nie miała Gazetko Gminna korespondent, tak piorunującą spojrzaj na mnie pan Gordias. Wreszcie wykrztusił: — Taki Słomiński Adam z gromady Parłino. Biedniak? — Jasne obywatelu korespondencie, i nie widzie mu się.

## Bohater z Rybnicy Leśnej

Bohaterem naszej gromady — Rybnicy Leśnej, gm. Kuźnica Wielka, powiatu wąbrzeźnińskiego jest Jan Kowalski, który przez niewielu dniami otrzymał srebrny Krzyż Zasługi za ofiarny patriotyzm i sumienne wykonywanie obowiązków wobec naszego państwa.

Kiedy po wojnie przyszedł do naszej wsi — trochęśmy się z takiego gospodarza podsmiewiali. Miał 23 lata i cały majątek — jak to się mówi — w kufereczku. Dostał od państwa 8 ha odlogów i jednego jedynego woła jako siłę pociagową. Pocziwie i pracowite zwierzę nazwaliśmy „Janowym Jasiem“.

Kowalski i „Janowy Jasi“ pracowali niestrudzenie przez kilka lat. W okresie wielkiego natężenia prac wracali z pola o dobrej już ciemnicy. No, a dziś wielu chłopów, którzy dostali gospodarstwa poniemieckie, nadzwidnie się nie może, jak Kowalski doszedł do 5 ha starannie uprawianej ziemi, półka warzywnego, sadu,

bo on ma specjalną budowę anatomiczną.

— Kpicie, czy co? — Zuska, legitymacja korespondenta to nie wszystko. Trzeba mieć jeszcze rozum i czujność korespondenta prasy ludowej. Kępski ma we wsi tylko nogi i brzuch, czyli — bogate pola i „balonowy“ wóz na gumowych kołach. Plecy natomiast w waszej Gminnej Radzie Narodowej, czyli, że może się bezkarnie wykpiwać od obowiązków wobec państwa i stosować — jak wczoraj — wyzysk wobec ludzi pracy z miast.

— A gdzie ma łeb?

Łeb ma w Łęczycy. Tam jest jego syn w jakimś ważnym urzędzie. Ta głowa zawsze go broni kiedy zawożą plecy i stad u Kępskiego brzuch syty i grube nogi, kapujesz?

Jakże takiej anatomii nie kapować. Trzeba było tylko sprawdzić, czy przodownicy dali dokładny opis rozmieszczenia poszczególnych części ciała Kępskiego. Sprawdziłem nie kłamał. I teraz bawimy się w chirurgów społecznych. Odcinamy głowę od pleców, a te od nóg i brzucha. Nie obejdzie się bez krzyku, ale dopiero po tej operacji nasza gmina będzie zdrowa.

Jan Zuska



Rys. St. Gierowski

GRZEGORZ BARTOSIEWICZ

## Rozrachunek gospodarki

Na pola padły pierwsze deszcze. Sucha była ziemia pod orką, w suszy urosła ozimina. Tu i ówdzie próbują chłopcy przeorać i zaszać na nowo. Tu i ówdzie czekali dotąd z siewami.

Po uściach wrze od zebrani i rozmów. Obracają się one wokół skupu zboża i kartofli, kontrakcji i spłat należności finansowych. Hu-cza młocarnie, dzieci odrabiają lekcje.

Na drogach, które wiodą do gminy, widać każdego dnia wozy, obładowane zbożem i kartoflami. Między gminą a gromadami „pretacza się” dzienny plan. Co wieczór sprawdza się go we wsi i sprawdza w GRN-ie. Co wieczór grupę aktywistów powiększa ktoś nowy. Jego legitymacja? Świeci przykładem. Wypelnili wszystkie obowiązki. Niekiedy z nadmiarem. W warunkach? Takich samych, a może i gorszych od sąsiedów, do których teraz wstępuje. Wiedzą czym to pachnie. Będzie męczył. Jego nie zabłądzą. Pośla, jak zjedzie z Warszawy, to co innego, jego się da. Był nie dopuścić do głosu, byle natrzeć na niego. Pośla lubi posuchnąć, ma obowiązki. Wiele powiesz: o, panie pośle, popatrzcie na naszego soltysa. Plantację ziemniaków złożył w tym roku i wszystko mu przepadło. Soltys kiwnie głową, mile polechtany — uśpoliczają — i milczy, kiedy ty łezasz.

— A u mnie, na ten przykład, z 2 ha wszystkiego zebrałem 12 metrów żyta.

— A u mnie, z pół ha lnu nie całe 5 metrów.

— A pastewnych to będzie 15 proc. tego, co w zeszłym roku.

Delegatów z powiatu, nawet z Rady Gminnej też można składować. Nie wiedzą, jaki był plan, nie wiedzą jak gra w produkcji całego gospodarstwa częściowa strata.

Ale w tym roku, nawet z postem się nie udało, mimo, że się rozczulił i pytał — podania składałście?

— O, panie pośle, na ten przykład Kurzoleka. Nie siał w tym roku żyta i pszenicy, więc złożył podanie a nie uznali. Soltys jeszcze milczy.

A Kurzoleka już przy głocie.

— To jeden mój ból, panie pośle, drugi zaś z powodu nadania. Ja mam w akcie 8 ha a podatek policzono od 10 ha. Jaka to sprawiedliwość?

— Ale teraz soltys już nie milczy.

— Czemuż ty, Kurzoleka, nie powiesz panu postowi, że to ja w Radzie Gminnej wypowiedziałem się przeciw twojemu podaniu i byłem za podatkiem dla ciebie od 10 ha? No, czemu nie mówisz? Ja widzę kto tu się pierwszy odzywa. Chłeliście mnie w siłą wciągnąć? Jednym frontem wobec obywatela posta ustawili, mimo, że dzielą nas stare porachunki? No, niechże powiedzą inni, uczciwie średniaki i matorolni, jak to jest z Kurzoleką?

Już posel dowiedział się, że Kurzoleka to kulacki frant. Ma pięć krow i przychówek. Pszenicy i żyta nie siał, bo sobie wykombinował, sądząc po ubiegłym roku, że jak nie będzie miał zbioru to mu nie wezmą „po cenie“. Natomiast po cichu worał się w ugoły i wszedł w łkę poza swoim gospodarstwem. Soltys na takich amatorów ściągają komisję i podatek obliczono od rzeczywistej powierzchni użytkowania.

Nie wyszło już z postem. A potem nie wyszło z powiatem.

W tych samych prawie dniach, ostatek dniach września, kiedy pośla bawił na wsi, przewodniczący Powiatowej Rady wojewódzkiej na naradzie tak mówił.

— Co stanowi pierwszy, podstawowy warunek akcji skupu? Mamy na powiat w planie sprzedać 3 tysiące ton. Dużo to czy mało? Bo jeśli użąd pod uwagę gorszy urodzaj jarych oraz kartofli? Ale w tym sek, jak to zmierzysz? A ludzie jak dosięga tego konia to i zagalopować się mogą. Plotka plotkę będzie wznagać, jedni na konto drugich próbować odwieść sprzedaż i nie wyrażać się z pełnego wymiaru. Powiem krótko — my uciemy, ile zebrali chłopcy zarna. 25 tysięcy ton. Nasz plan stanowi zatem 12 proc. zbioru. Jest w sam raz. Damy radę. Będzie my chłopom mówić, ile mają, a ile sprzedają państwu. Trzeba żeby chłop jasno widział te proporcje w skali powiatu, gminy i wsi. Wtedy akcja stanie się „rozrachunkiem gospodarskim“. Rzetelnym i do rzetelności zobowiązującym.

Grzegorz Bartosiewicz

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL  
Redaguje Komitet  
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 752-50. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7  
Prenumerata 1 kopertaz: P. P. K. „Ruch“, Oddział w Warszawie, ulica Sierbna 12, tel. 894-20 do 25  
Tel. Red. Nacz. 727-88. Tel. Redakcji: 751 80 do wewnętrznego 91, 63  
REDAKCJA NIE ZAMOWIYNYCH RĘKOPISOW NIE ZWRACA  
Wpłata na prenumeratę można dokonywać na konto PKO Warszawa 1-6942-110 z zaznaczeniem „za tyc. „Wies“.  
Warunki prenumeraty:  
miesięcznie 3, — zł; kwartalnie 9, —; półrocznie 18, — zł; rocznie 36, — zł  
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa 1-6942-110 z zaznaczeniem „za tyc. „Wies“.  
RSW „PRASA“, Warszawa, Marszałkowska 3/5 2-B-49442